Nr. 51 (1199). Warszawa, 6 (19) Grudnia 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za posrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Szanownych Abonentów prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, która nam pozwoli w porę zadość uczynić ich żądaniom.

POLITYKA.

Tisza contra Koerber.

Dnia 12 b. m. w Izbie wyższej w Wiedniu grupa archizachowawcza, której przewodzi Windischgraetz, syn pamiętnego z października 1848 r. ukróciciela Wiednia, zyskawszy podpisy z wszystkich stronnictw Izby, między innemi i pięć polskich, wytoczyła przed Koerbera sprawę ustępstw dla Węgrów, spełnionych już lub też spełnić się mających w tej właśnie dziedzinie, która dla obu połów monarchii habsburskiej według praw konstytucyjnych z r. 1867 wspólną być musi. W szczególności chodziło o armię. Koerber napoczekaniu dał odpowiedź, naprzód już wiedząc na jakie pytanie. Oświadczył, że ugoda nie pozwala żadnej ze stron tłumaczyć ducha praw nią objętych bez udziału drugiej, ugoda bowiem jest niejako traktatem. Zmieniać ją można za wspólnem porozumieniem. Rząd przedlitawski wiedział i wie o projektowanych zmianach na Węgrzech; ponieważ jednak nie ujęto ich jeszcze w kształt ostateczny, nie będzie więc w treść ich wnikał; może wszakże uspokoić Izbę, że zewnętrzna i wewnętrzna jedność armii nie dozna pokrzywdzenia. Rozpołowienie armii dotyczas wspólnej byłoby zbrodnią wobec idei monarchii, ale tej zbrodni niepodobna się dopuścić, dopóki istnieje wiążąca obie strony ugoda. Taki jest rdzeń myśli w słowach Koerbera.

Na wniosek Thuna uchwalono bezzwłoczne rozprawy nad głosem ministra. Pierwszy i zarazem ostatni wysunął się Windischgraetz. Przypomniał, że już w lecie w r. b. ostrzegł był prezesa gabinetu o stanowisku, z jakiego na ustępstwa dla Węgrów — wówczas jeszcze wielce hypotetyczne — zapatruje się i on sam i jego grupa: bezwarunkowe uznanie praw korony i władcy wojskowego (Kriegsherr) jest duszą tych przekonań. To, co Kossuth powiedział, wstrzymując obstrukcyę w sejmie węgierskim, zaniepokoiło wielu w Przedlitawii. Pod wrażeniem otrzymywanem z Węgier zaczęły i tutaj występować roszczenia narodowe. Stronnictwo Windischgraetza nie zgodzi się nigdy na rozpłatanie armii. W razie urzeczywistnienia się zamysłów do tego zmierzających wzrosłyby ciężary Przedlitawii, a ludność niema bynajmniej ochoty do roli jagnięcia, któreby jukami obciążano.

Izba nie dodała już ani słowa do powyższej zapowiedzi oporu; rozprawy uznano za wyczerpane, ale nie uznano ich za takie w Peszcie. Telegraf sobotni wzburzył piękną stolicę państwa madiarskiego nad Dunajem, a wypoczynek niedzielny podniecił jeszcze płomienie gniewu. Po raz drugi już w ciągu kilku tygodni ten sam Koerber rozmyślnie wkracza do cudzego ogrodu i wyrywa z niego najpiękniejsze kwiaty. Przygotowały się też do zaciętej z nim walki i stronnictwa w Izbie i młodzież i lud na ulicy, przygotowali się i ministrowie w rządzie. Za wspólnem porozumieniem Tisza stał się wspólnym, przez wszystkich obranym mówcą generalnym w sprawie.

Oto, co w dniu 14 b. m. odpowiedział na ułożoną wspólnie, a przez Hodossego wniesioną interpelacyę o Koerbera i Windischgraetza: Milczenie w niebezpieczeństwie byłoby wielkiem zaniedbaniem obowiązku, dlatego mówca głos zabiera. W austryackiej Izbie panów dostrzega objawy zasmucające. Przypominają mu się odrazu dawne siły i dążności centralistyczne. Gdyby się im teraz udało byt odzyskać, i tron i naród (austryacki) na wielkie naraziłyby niebezpieczeństwo. W historyi dwukrotnie już centralizm porywał za broń; za każdym razem przywiązanie króla do narodu (węgierskiego) i do konstytucyi otwierało drogę ocalenia. Na Węgrzech znajdowali się zawsze mężowie stanu dość rozumni i silni, aby nie pozwolić na zakłócenie spokoju i utrzymać węzły. Obecnie w Austryi widać dążność do rozluźnienia stosunku z Węgrami i wywołania zamętu. Zamiast szukać zdrowych podstaw dla własnego życia państwowego, niektóre czynniki usiłują wywierać wpływy swe na Węgrzech i tłumaczą ustawy ugodowe w sposób dla wszystkich stronnictw węgierskich zarówno dotkliwy. Reformy, o których mówił austryacki prezes ministrów, znajdują się już w okresie przygotowawczym; powątpiewanie zatem o urzeczywistnieniu wszystkiego tego, co w tym sejmie w imieniu korony już zapowiedziano, byłoby nielojalnością i ubliżeniem samej koronie. Tisza chce, aby Koerber wiedział, co się stać ma na Węgrzech, ale Tisza nie chce, aby się Koerber wtrącał w sprawy pomiędzy królem a narodem węgierskim. Powoływanie się częste na Andrassego miażdży przeciwników reform, bo on to właśnie słowem i czynem

dowodził, że naród z prawem swojem musi wtargnąć i do armii.

Do tego doprowadzić mają Węgrów zamierzone obecnie reformy. Wynikają one logicznie z ugody 1886 r. Przeważna większość Izby węgierskiej opiera się właśnie na ugodzie. Na Węgrzech znajdzie się zawsze i rząd i większość gotowe do walki z opozycyą. Nadzieję taką rozwiać by mogła tylko tak jednostronna interpretacya, jak obecna. Podobne objawy muszą wzmacniać dążenia stronnictwa niezawisłości. W takich interpretacyach stronnictwo to znajdować dla siebie będzie sprzymierzeńczą pomoc.

Porównanie mowy węgierskiej z austryacką odrazu pokazuje ich logiczną niewymierność. Centralizm austryacki jako wróg Węgier, jako utajony *spiritus rector* tych wątpliwości i oporów przedlitawskich, które obudzają w Węgrach uczucia pokrzywdzenia — jest gościem wprowadzonym do rozprawy przez samego Tiszę, a nieproszonym wcale przez Koerbera. Twierdzenie, że taki centralizm wiedeński, austryacki, znajdował zawsze odparcie na Węgrzech, nie zgadza się z prawdą, bo właśnie Węgrzy jeszcze za Badeniego nadstawiali plecy swe centralistom austryackim, a w pamiętnym r. 1871 Węgrzy wspólnie z centralistami przedlitawskimi rozrzucili podwaliny federalizmu, zakładane przez Hohenwarta w „Fundamentalartickel“ dla Czechów. I prawność sama na wikcie Tiszy wygląda mizernie; niepodobna tu jednak wykazywać tego na tekstach ugody z grudnia 1867 r. Najważniejszem, wytycznem dla przyszłości — konstytucyjnie wspólnej przecież dla Austryi i dla Węgier jest hasło Kossutha d. 13 b. m. w Cegledzie: „Nie będzie spokoju na Węgrzech, dopóki Węgry nie wybiją się zupełnie z pod Austryi.“ To uczy, to wystarcza.



TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawa Korei i Mandżuryi utknęła. Rokowania zerwane nie są, ale też i nie postępują. Poseł Hajaszy w Londynie zapewnia o rozwiązaniu pokojowem; nieco wcześniej, w przeszłym tygodniu, nowojorska *Associated Press* ujawniła sam sposób rozwiązania. Mają być sporządzone dwa akty: jeden zostawi Koreę pod wpływem Japonii, nie odbierając wszakże Rosyi pozyskanych już przywilejów i nie tamując tego, coby niezbędnem się okazało do zapewnienia temu mocarstwu dróg morskich z morza Żółtego na Ocean Spokojny; drugi odwzajemni się uznaniem faktów spełnionych przez Rosyę w Mandżuryi, nie potrącając wcale o sprawę opuszczenia jej, padającą już bezpośrednio w obręb interesów chińskich. Oba te akty mają dopiero postać propozycyi jednej strony i nie są nawet jeszcze projektami, wziętymi przez obie pod wspólne roztrząsanie. Telegram z Tokio, z d. 10 b. m., donosi o zjawieniu się w Czemulpo eskadry rosyjskie z 8 okrętów; zaraz po przybiciu do lądu admirał Aleksiejew wraz z posłem rosyjskim udał się do cesarza koreańskiego.

Anglicy zabawiają się w filologię: oficerowie angielscy uczą się języka japońskiego na miejscu. Zyska na tem konwersacya w klubach, ale nie zyska nic Japonia, o której Anglia mimo przymierza wcale nie myśli. Stany Zjednoczone wcale też nie mają ochoty wejść w sprzymierzeńczą jej skórę, która wakuje. Wszystko zachęca stronnictwo zachowawczo-oględne w Japonii i sam rząd do poddania się konieczności. Rządowi ułatwi jeszcze robotę rozwiązanie Izby poselskiej, już na trzeci dzień po zagajeniu przez mikadę (9 b. m.). Odpowiedź na mowę tronową była taka, że jej panujący przyjąć nie mógł przed odprawieniem swych doradców i pomocników. Pioruny miotano w Izbie na ich głowy za tchórzostwo i niedołęztwo. Ale tak czują u wierzchu tylko gorętsi — wszędzie w ogromnej mniejszości — w dole lud, wszędzie rządzący się logiką raz poruszonego uczucia. Wybory do nowego sejmu w marcu.

Sułtan jeszcze dnia 25 listopada przyjął wszystkie punkta z Mürzstegu; co do dwóch pierwszych tylko, najważniejszych (kontrolerzy europejscy przy Hilmim-baszy w Monastyrze i ich agenci, oraz nowy podział Macedonii) zastrzegł sobie jeszcze porozumienie się rzeczowe: znowu się ulotni. Zmięknienie woli obwieścił już z całą pewnością dopiero telegram z d. 9 b. m. Obaj posłowie działający wyrazili zadowolenie swych rządów. Przy nowym ogniu tureckim będzie Macedończykom tak samo zimno i ciemno, jak przy dawniejszych. Dotychczasowa polityka Turcyi jest jawnem działaniem na zwłokę.

W Serbii płyną nurty podziemne. Mocarstwa nakazały przedstawicielom swoim zająć w polityce stanowisko etyczne, a to z powodu onych mordów czerwcowych. Wyjechali już posłowie rosyjski i włoski, wyjechać mają austryacki, niemiecki i — turecki. Na nabożeństwie dworskiem d. 13 b. m. nie zjawił się ani jeden poseł, gdyż Austrya zażądała ukarania królobójców. Wuicz poseł w Wiedniu, na posłuchaniu u Franc. Józefa nic nie wskórał. Oczywiście, w łupinie etyki kryje się jądro nowej jakiejś polityki. Celem może być nietylko odepchnięcie jednego stronnictwa a postawienie drugiego u steru, ale — nawet zniewolenie króla Piotra do abdykacyi. Etyka jest w danej chwili dla dyplomacyi potrzebną.

W Wiedniu Izba d. b. m. odroczona prowadziła rozprawy zajmujące nawet bez obstrukcyi. Nowy regulamin pociągnął mówców do nowej ordynacyi wyborczej, a nawet, pod wrażeniem znanego żądania Czechów, do nowej konstytucyi. Mowy Romańczuka, Ferztla, a zwłaszcza Ellenbogena, są wielce znamienne. Körber też niemało przyczynił się do ożywienia przez ponowne — teraz już w Izbie panów — stwierdzenie prawa Przedlitawii do wglądania w obecny zamęt zalitawski ze stanowiska wspólnej armii, wspólnej ugody — bo przecież ugoda inną być nie może — i wspólnego też życia. Tisza skorzystał z nowej sposobności dania p. Körberowi nauki: d. 14 b. m., nie wymawiając już wyrazu „obcy,“ powiedział mowę wielką, patryotyczną. Wzmocnił się nią na stanowisku, wzmocnił i domniemanie, że opozycya dotrzyma słowa i nie wznowi obstrukcyi. Niezawiśli chcą wydać manifest do narodu, aby się z zaniechania jej oczyścić. Nowe prawo wyborcze, przyrzeczone przez prezesa gabinetu jednocześnie z przyszłym językiem komendy i przyszłem prawem sejmu do wojska. Tisza powinien jak najprędzej sejmowi przedstawić.

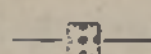
Panamę uznały: Austrya, Szwecya, Dania. St. Zjednoczone zgromadziły w przesmyku 22 okręty. Kolumbijczycy zwrócili się z drogi lądowej, ale podobno morską podwieźli pod byłą swą prowincyę jakieś 1,100 żołnierzy.

Anglicy dopuścili się wielkiej niegodziwości. W Kordofanie południowym ukazał się nowy Mahdi. Zastępca Serdara Kitchenera zaskoczył go znienacka, podobno nocą, schwytał po krótkiej obronie, porwał z sobą i powiesił za obronę praw człowieka. Kto teraz jego powiesi za barbarzyński mord?



2)

Hans Leuss.



Z więzienia poprawczego *)

Jeślim zawinił, to moja wina była całkiem innego rodzaju, niż ta, której mi oskarżenie przez świadków dowieść chciało. Ich zeznania były zupełnie mylne i nie one spowodowały moje skazanie. Chcę być bezstronnym, nie czuję urazy, nie szukam zemsty, lecz na podstawie osobistego doświadczenia muszę powiedzieć: że człowiek nie jest zdolny tak świadczyć, jak tego zarząd sprawiedliwości wymaga i wymagać musi. Zeznania wszystkich świadków są fałszywe, jednych mniej, drugich więcej; nawet najlepsi ludzie są złymi świadkami, być może nawet najgorszymi. I to także kłamstwo, żeby z zeznań świadków doświadczony sędzia mógł wydobyć prawdę. W najlepszym razie może on tylko łagodzić zbyt ciężkie obrażenia, jakich prawda doznaje podczas dochodzenia sądowego, gdy prokurator ciągnie ją w jedną stronę a obrońca w drugą; ale też nierzadko sam rwie jej tkaninę, kierując zeznaniami świadków. Wszakże to zawsze jeszcze zwykła rzecz w sądzie: „pytania poddające“; napomnienia dawane świadkowi, uwagi krytyczne, ton niechętny, karcący lub uprzejmość ośmielająca — a to wszystko wpływa na zeznania, decyduje o nich i często doprowadza świadczącego tam, gdzie on wcale nie zamierzał się znaleźć. Z góry powzięte przekonanie sędziego wyraża się dźwiękiem jego głosu, skracaniem badania świadka jednej strony, a udzielaniem zupełnej swobody wygadania się zeznającemu od drugiej, onieśmielaniem jednego, zachęcaniem drugiego. Tym sposobem współdziałanie sędziego staje się jednym z czynników zaciemniania, nie wyjaśniania prawdy. Sędzia bowiem jest także człowiekiem, a ludzie nie są zdolni ani do sądzenia, ani do dawania świadectwa.

Być może, łatwiejby im przyszło o tyle o ile znośnie to zadanie rozwiązać, gdyby mogli pomyśleć nad niem w spokoju i zdala od bałamutnych wrażeń; lecz i wówczas nie obeszłoby się napewno bez zadania ran prawdzie, nie tak już jednak głębokich, jak obecnie. Czytałem w trakcie tego o próbie urządzonej w Berlinie, w seminaryum kryminologicznem, przez profesora Liszta. W obecności licznie zgromadzonych jego uczniów, dwóch z nich na pozór posprzeczało się gwałtownie i rzucili się na siebie. Walczących rozdzielono, a obecni, którzy zajście wzięli poważnie, a pomiędzy którymi był także sędzia ziemski, zaraz na miejscu, pod świeżem wrażeniem poczynili zeznania, które zapisano. I okazało się, że wszystkie były najzupełniej sprzeczne i to w najdrobniejszych nawet szczegółach. Wobec tego zapytać trzeba: jaka może być podstawa dla wydania wyroku?

Jeżeli dotąd w nauce prawa karnego ważną kwestyę odpowiedzialności i wolnej woli traktowano mizernie, to powyższa próba wobec dostarczonego rezultatu zachwiała powagą „dowodu,“ jak i prawem pomsty. Wolna wola jest taką samą ograniczoną i wątpliwą wielkością, jak „prawda.“ Nikt jeszcze nie zbadał, co w naszych własnych uczuciach pochodzi od woli, postanowienia, a co jest wynikiem oddziaływania wrażeń; to też mędrzec widzi tu tylko je-

*) Początek w nr. 45.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

—✦—

Walka o p. Kulerskiego. — Nadużycia w Prusach Zachodnich. — Śmierć p. Głębockiego. — P. Korfanty a Koło polskie. — Szachrajstwa centrowców. — Broszura p. Napieralskiego. — Heca antiżydowska. — Brak nauczycieli. — Zapomogi bez końca.

Obóz antiludowy nie daje za wygraną i z całą zaciekłością ściga posła Kulerskiego w parlamencie. Mianowicie centralny Komitet wyborczy na Prusy Zachodnie i Warmię wystosował żądanie do Koła polskiego, ażeby nie przyjmowało p. Kulerskiego w poczet swych członków. Czytelnicy *Prawdy* wiedzą, jakich machinacyj używali konserwatyści, by uniemożliwić p. Kulerskiemu zdobycie mandatu, jakich nadużyć dopuszczali się, chcąc dać sposobność sądom pruskim wpakowania niebezpiecznego współzawodnika do więzienia. Kiedy wszystkie ich zachody spełzły na niczem, a wyborcy — wbrew nielegalnemu postanowieniu władz wyborczych — wybrali na posła p. Kulerskiego, konserwatyści postanowili go przynajmniej nie dopuścić do Koła polskiego. Ale i tu autorowie protestu ponieśli klęskę, gdyż Koło polskie przyjęło p. Kulerskiego, odrzucając protest zachodnio-pruskiego komitetu centralnego. Bo też nie mogło uczynić inaczej, ponieważ § 1 ustawy Koła opiewa: „Polacy, wchodzący w skład parlamentu niemieckiego, tworzą Koło polskie“— a więc Kulerski przez sam fakt wejścia do parlamentu jest już jego członkiem.

Śmieszny protest zachodnio - pruskiego Komitetu centralnego nie mógł nie wywołać wielkiego oburzenia w kołach ludowców, którzy obecnie piętnują całą działalność władz wyborczych w Prusach Zachodnich.

W tej prowincyi panują stosunki krzyczące. Większość wyborców polskich stoi bezwarunkowo po stronie ruchu ludowego i sympatyzuje całkiem niedwuznacznie z p. Kulerskim i jego *Gazetą Grudziądzką*, posiadającą do 50,000 prenumeratorów. Tymczasem przeciwnicy ruchu ludowegu, skupiający się dokoła ks. Wolszlegiera i jego *Pielgrzyma*, opanowali i centralny Komitet wyborczy i większość zgromadzenia delegatów, co im pozwala urządzać różne machinacye wbrew oczywistej woli wyborców.

Na skutek wpływów ks. Wolszlegiera, przy mianowaniu kandydatur przepadli wszyscy kandydaci, istotni przedstawiciele zapatrywań większości wyborców. Tak w okręgu człuchowsko-woleckim padła kandydatura ks. Kackiego, forytowanego przez *Gaz. Grudziądzką*, w okręgu gdańskim p. Czyżewskiego, w starogardzko-kościersko-tczewskim pp. Górskiego i Hilara, w sztumsko-kwidzyńskim ks. Kiedrowskiego. Natomiast gdzieindziej postawiono kandydaturę osobistości, wychowującej dzieci na Niemców, ale zaprzyjaźnionej z ks. Wolszlegierem. W rezultacie wielu Polaków wcale nie chciało głosować, jak to było w Brodnicy i w okręgu tucholsko-chojnickim. Gdzieindziej znowuż wyborcy pozostali w domu, nie chcąc popierać wrogich ruchowi ludowemu osobistości.

Nic dziwnego, że tak anormalne stosunki wywołują pragnienie radykalnej reformy, polegającej na usunięciu tych żywiołów, które wywierają obecnie wpływ przeważny jedynie dzięki tradycyi.

Orędownik kreśli plan takiej akcyi w najbliższej przyszłości, przedewszystkiem w Poznańskiem, gdzie wybory nowych komitetów wyborczych i delegatów powiatowych będą się niebawem odbywały.

W. Ks. Poznańskie wybiera 42 delegatów. Wśród tych zdecydowanych ludowców jest zaledwie 17. Jeśli dodamy do tego 3—4 delegatów politycznie niezdeklarowanych, to w każdym razie konserwatyści mają prawie zawsze zapewnioną większość. W Prusach Zachodnich stosunek liczbowy jest jeszcze niepomyślniejszy, gdyż ludowcy posiadają tylko 9 delegatów na 22. W Poznańskiem więc zdobycie większości w kole delegatów nie byłoby tak trudnem. Ludowcy przeto szykują się obecnie do obsadzenia delegatur swoimi ludźmi i prawdopodobnie uda im się zdobyć 5—6 miejsc, coby zapewniło przewagę na zjazdach delegatów poznańskich.

Ta przewaga jest tem niezbędniejsza, że wkrótce znowu nastąpi starcie dwóch w Poznańskiem współzawodniczących obozów, a to z racyi śmierci Głębockiego, po którym wakują dwa mandaty — śremsko-średzki do parlamentu i średzko-wrzesińsko-śremski do sejmu.

Nagła śmierć posła Głębockiego, słusznie uważanego za najwybitniejszą siłę parlamentarną opozycyi, jest bezwarunkowo ciężkim ciosem dla obozu ludowców. Nieboszczyk był gorącym zwolennikiem polityki „ostrego tonu“ i on właśnie w ostatnich czasach wprowadził ją w życie. Z ust p. Głębockiego po raz pierwszy od bardzo dawnego czasu ministrowie pruscy usłyszeli z ław polskich zamiast ślamazarnych utyskiwań i żałosnych skarg ostre mowy, dźwięczące protestem energicznym — te mowy wywołały pożądane wrażenie. Obecnie wśród opozycyi polskiej w parlamencie niema posła, któryby w ten sam sposób potrafił zaimponować przeciwnikom. P. F. Niegolewski nie jest osobistością wybitną, a p. Korfanty nie posiada daru krasomówczego. Co się zaś tyczy p. Chrzanowskiego, pod względem zapatrywań politycznych najbliższego kolegi zmarłego Głębockiego, to nie potrafi on zdobyć się na taki zapał, z jakim przemawiał Głębocki.

Konserwatyści, zadowoleni, że zdołali wskutek różnych wybiegów wprowadzić do sejmu znienawidzonego przez opozycyę p. Dziembowskiego, sądują obecnie grunt, czy im się nie uda w ten sam sposób przeprowadzić w okręgu, wakującym po śmierci Głębockiego, p. Cegielskiego, stanowczo odrzucanego przez ogół wyborców. Ludowcy z oburzeniem protestują przeciwko tym projektom i pragną widzieć w sejmie p. Morawskiego. Wyłania się też kandydatura p. Korfantego. Rzecz bardzo prawdopodobna, że p. Korfanty otrzyma mandat poselski do sejmu; w ten sposób w sejmowem Kole polskiem również będzie Górny Śląsk reprezentowany.

Wbrew powszechnym oczekiwaniom przyjęcie p. Korfantego do Koła polskiego odbyło się bez żadnych przeszkód. Nikt nie podniósł głosu przeciw wejściu Górnoślązaka do reprezentacyi, posiadającej w swem gronie posłów tylko z Poznańskiego i Prus Zachodnich. P. Korfanty został wydelegowany przez Koło polskie do komisyi petycyjnej.

Jakkolwiek na prezesa Koła został obrany ks. Radziwiłł, to jednak do komisyi parlamentarnej, odgrywającej ważną rolę w określaniu kierunku całej polityki reprezentacyi polskiej nie wszedł już ks. Jażdżewski, typowy przedstawiciel polityki służalstwa. Do tej komisyi wybrano: pp. L. Czarlińskiego, dr. Skarżyńskiego, dr. Chłapowskiego i M. Mielżyńskiego.

Pogłoski o przystąpieniu p. Królika do Koła polskiego nie sprawdziły się. Królik wszedł do centrum. Co do p. Szmuli, to, zdaje się, że pozostanie dzikim, choć i to jeszcze nie jest pewne. Najprawdopodobniej pogodzi się z hakatystami centrowymi i znowu spocznie na łonie urzędowej re-

---

dną drogę: kompromisu pomiędzy wolnością i koniecznością.

Jak może człowiek sądzić i poznać, co jest prawdą w zamęcie podnieconego dochodzenia, gdy jedno wrażenie wygania drugie, a stronność podsyca bezustannie nieudolność w pojmowaniu istoty rzeczy i wydaniu wyroku? Gdyby prawda i sprawiedliwość mogły istnieć między ludźmi, nie w sądzie w każdym razie i nie w procesie karnym szukaćby ich należało, nie na tem polu namiętnych tendencyjności, gdzie się kłócą oskarżenie z obroną, przyjaciel z wrogiem, gdzie nienawiść i miłość, mściwość i obrona depczą prawdę.

Jeśli droga, po której kroczy wiedza ludzka, przedstawia się jako nieskończony łańcuch pomyłek, a naszym zmysłom tylokrotnie udowodniono fałszywość ich świadectw, jeśli dzieje wymiaru prawa karnego są obrazem najstraszliwszego barbarzyństwa, najgrubszych po wsze czasy błędów, które jednak dla współczesnych posiadały znaczenie prawdy najistotniejszej, konieczności nieuniknionej, to przyjdzie czas, kiedy i nasze przekonanie o wartości postępowania karnego do strasznych obłąkań zaliczone zostanie, kiedy zeznania świadków w procesach i dochodzeniach sądowych wogóle mieć będą takie znaczenie, jakie ma dla nas obecnie świadectwo wymuszone torturą — występującą i dziś coprawda pod postacią bezkrwawych środków więzienia śledczego, łagodzącego okoliczności przyznania się do winy itd. Nie, człowiek, niewolnik władnących nim i ducha jego ujarzmiających wrażeń, nie może być ani sędzią, ani świadkiem. Doświadczenie osobiste upoważnia mię do powiedzenia tego. Ja tylko znałem prawdę, o której inni świadczyli i powtarzam: na nic nam świadkowie, a nasze przysięgi są tylko stekiem pomyłek.

„Sądzić macie sam fakt, nie to, co go poprzedziło.“ Czy jednak taki fakt nie wyglądałby inaczej w oświetleniu poprzedzającej go historyi? A jeśli nie można drogą dochodzenia sądowego otrzymać doskonałego obrazu zupełnej prawdy, to czyż w ubiegłych okolicznościach życia nie należałoby szukać dla popełnionego czynu pobudek i przyczyn wyjaśniających? Tak przedewszystkiem trzeba było postąpić w sprawie, którą mnie wytoczono. Te same względy, które mnie skłoniły do fałszywego zeznania, nie pozwoliły mi być otwartym, gdy moja współwinowajczyni do wszystkiego się przyznała, poprzestałem tylko na zrzeczeniu się obrony. Ale jak wówczas, tak i teraz rad jestem, że ona to zrobiła.

W sali sądowej w jednej chwili zawrzało. Przewodniczący opuścił swoje krzesło i w przyległym pokoju rozmawiał ze świadkiem, położywszy rękę na jej ramieniu; przysięgli powstali z miejsc, a ludzie zaczęli się tłoczyć do sali, aż ich musiano wydalić... *W pół godziny potem wydano wyrok.* Skoro kwestya winy została rozstrzygnięta, nikomu nie przyszło do głowy pytać o okoliczności. Bezpośrednio po unicestwieniu obrony, pod wrażeniem katastrofy, której zuchwały sprawca stał przed nimi, pod wpływem wzburzenia, któremu, jak sam przewodniczący przyznał, podobnego w życiu nie doznali — na mnie wydano sąd potępiający. Zdaje się, że i wówczas nie znano jeszcze żadnych okoliczności, dotyczących całego wydarzenia, ale nikt z obecnych ani sobie, ani drugiemu nie powiedział: „Stój, teraz zaczyna się właściwe nasze zadanie: szukania sprawiedliwości, nie czas jeszcze na wyrok potępiający!..“ Nie, ludzie nie mogą być sędziami. Działają pod wpływem otaczającego ich wzburzenia, które głośno domaga się potępienia, a wydaje im się, że są wykonawca-

prezentacyi centrum, choć antagonizm centrowców do Polaków stale wzrasta.

Obecnie wychodzą na jaw ich szachrajstwa przy ostatnich wyborach w okręgu pszczyńsko-rybnickim. Kiedy wyborcy polscy postanowili powstrzymać się od głosowania i komitet polski wydał odpowiednie hasło, centrowcy z księżmi Kapicą i Kubisem na czele, wysłali do wszystkich polskich wyborców następujący telegram: „Morgen Wahlmann Soran kommen, Sieg wahrscheinlich. Komitet.“ (Jutro wyborcy przybyć do Żorów, zwycięztwo prawdopodobne). Na niemieckim telegramie użyto rozmyślnie polskiego wyrazu „Komitet“ (nie Comité), aby wyborców w błąd wprowadzić. Kiedy oszukani tym telegramem przybyli do Żorów, centrowcy poczęli przemawiać do nich w imię solidarności katolickiej itd. Wskutek tego sporo wyborców polskich głosowało za kandydatami centrowymi. Obecnie centrowa *Gazeta Katolicka* otwarcie się przyznaje do tego manewru.

Sprawa tego szachrajstwa księży Kapicy i Kubisa najzupełniej wystarcza do unieważnienia wyboru centrowca, to też, gdyby Polacy chcieli starania rozpocząć, mogłaby stąd wyniknąć wielka dla centrowców kompromitacya, choć trudno przypuścić, aby wybór był unieważniony.

Obecnie już i *Katolik*, pomimo całej swej chwiejności i oportunizmu, poczyna występować otwarcie przeciw centrum. Redaktor *Katolika*, p. Napieralski, wydał świeżo broszurę p. t. „Katolik a centrum,“ w której pisze szeroko o stosunku swym i swojego stronnictwa do centrum w r. 1889—1903 i o powodach, które go skłoniły w końcu do zerwania z centrum. P. Napieralski zastanawia się przedewszystkiem nad pytaniem, dotychczas jeszcze zadawanem przez Niemców: czy Górnoślązacy są rzeczywiście Polakami? Następnie przechodzi do pytania: co zrobiło centrum dla Polaków na Górnym Śląsku?

Odpowiada na to, że centrum nie broniło dostatecznie interesów religijnych ludu górnośląskiego, gdyż nie uwzględniało języka polskiego przy nauce religii; że wcale nie broniło interesów narodowych ludu, ani nie starało się o poparcie jego interesów materyalnych. Nie pomyślało wcale o zakładaniu żadnych towarzystw robotniczych, towarzystw lub kółek rolniczych, stowarzyszeń rzemieślniczych, bo wszystkie, zakładane przez centrum, były niemieckiemi, w których Górnoślązak się niemczył, a to go oburzało i dlatego nie chciał do nich należeć. O oświacie górnośląskiego ludu polskiego centrum nie myślało wcale, polityczne uświadomienie uważało za zupełnie zbyteczne.

W dalszym ciągu p. Napieralski charakteryzuje własną działalność. Objąwszy w r. 1889 redakcyę *Katolika*, bronił potrzeb i interesów, które znał dobrze. Stanął z pismem swem do walki z germanizacyą w obronie narodowości, wiary i interesów materyalnych ludu, a mając nadzieję, że w centrum znajdzie poparcie słusznych swych żądań, do niego się przyłączył, popierał je i starał się w ten sposób wyjednać dla Górnoślązaków wszystko to, czego była istotna potrzeba. Partya *Katolika* żądała, aby lud polski był reprezentowany przez posłów polskich, należących do centrum. Żądanie to było jednak lekceważone. Nareszcie oburzenie na centrowców i popierających ich zwolenników *Katolika* tak wezbrało, że powstało nowe pismo otwarcie anticentrowe — *Górnoślązak*.

Górnoślązak ogłosił zerwanie wszelkich stosunków z centrowcami i rozwinął agitacyę w kierunku politycznego usamodzielnienia ludu. Napieralski nie pochwalił tego ruchu, gdyż chciał oprzeć się na sojuszniku silnym i uczciwym, tj. na centrum. Wszystkie jego zamiary rozbiły się jednak o butę tej partyi. Podczas ostatnich wyborów łączność pomiędzy Polakami a centrowcami, którzy nie chcieli uwzględnić najsłuszniejszych żądań, została zerwana.

Przedstawiwszy w ten sposób przebieg dotychczasowych stosunków polsko-centrowych, p. Napieralski zadaje w końcu broszury pytanie: „a teraz cóż się stanie?“ Czyż rzeczywiście pomiędzy centrum a ludnością polską ma zawrzeć walka, która obu stronom tylko szkody przyniesie? Czyż dawni sojusznicy mają pracować na korzyść wrogich im żywiołów? Czyż niema żadnej drogi wyjścia? Jest — odpowiada p. Napieralski — potrzeba tylko rozsądku i sprawiedliwości w ocenianiu stosunków. „Partya katolicka powinna rządzić się zasadami kościoła katolickiego i pozbyć się wszystkiego, coby jej ten charakter odejmowało, powinna być sprawiedliwa dla słusznych żądań katolików, powinna się pozbyć hakatystycznych dążności, a zgoda będzie możliwa.“

Ten morał końcowy broszury p. Napieralskiego dostatecznie maluje całą naiwność oraz zaślepienie katolickie tego działacza śląskiego. Po tylu dotkliwych cięgach, jakich centrum nie szczędziło Polakom, po tylu upokorzeniach, jakie samego p. Napieralskiego ustawicznie spotykały, łudzi się on jeszcze, że centrum może wejść na drogę sprawiedliwego traktowania Polaków. Najgorszem jest to, że złudzenia podobne każą p. Napieralskiemu w dalszym ciągu szukać sposobów pogodzenia się z centrum, naturalnie kosztem kompromisów wszelkiego rodzaju, które tylko hamują zdrowy rozwój polityczny Górnego Śląska, idący w kierunku zupełnego wyjarzmienia się ludu z pod wszelkiej hegemonii niemieckiej.

Szał hakatystyczny, czyniący ustawiczne postępy wśród centrowców i innych partyj niemieckich, przybiera obecnie dość nieoczekiwane formy. Zwraca się on teraz przeciwko Żydom, głosząc hasło: „Precz z Żydami z W. Ks. Poznańskiego!“

Żydzi w Poznańskiem stanowią obecnie dość nieliczny odłam ludności i stale zmniejszający się skutkiem emigracyi. Uważają się wszyscy za Niemców i w patryotyzmie niemieckim, jako też w uczuciach wrogich dla Polaków nie dają się prześcignąć rdzennym Niemcom. To jednak nie uchroniło ich od nienawiści hakatystów, którzy obecnie wypisują na nich niestworzone rzeczy. Ponieważ w Inowrocławiu, podczas niedawnych wyborów do rady miejskiej, Żydzi niedostatecznie poparli Niemców, wskutek czego przeszedł kandydat polski, przeto hakatyści nawołują do zorganizowania antisemityzmu, do bojkotowania Żydów i wypierania ich wszelkiemi siłami z Poznańskiego. *Die Post* pisze, że zorganizowanie w Poznańskiem antisemityzmu chwilowo możeby zamieszało stosunki a osłabiło niemczyznę, ale tylko chwilowo. Żydowska opinia publiczna ogromnie jest oburzona na tę napaść. Gazety żydowskie dowodzą, że właśnie Żydzi są najlepszymi filarami niemczyzny na wschodzie i że prześladowanie Żydów osłabi ją. *Posener Ztng* powiada, że dla liberałów i postępowców żydowskich niepodobieństwem będzie na przyszłość iść przy wyborach razem z Niemcami-hakatystami przeciw Polakom. Mówi ona, że postępowcy razem z liberałami zorganizują się w osobne stronnictwo, aby na własną rękę działać bez spółki z hakatystami. *Posener Ztng* zwraca się do naczelnego prezesa i zapytuje go: jakie stanowisko zajmuje regencya wobec wyraźnej hecy, wobec głośnych, publicznych krzyków: precz z Żydami! Jeżeli rząd prowincyonalny nie da jasnej na to odpowiedzi, to posłowie postępowi wytoczą tę sprawę przed sejmem.

W ostatnich czasach daje się zauważyć w Poznańskiem wielki brak sił nauczycielskich. Rząd czyni najrozmaitsze starania,

---

mi, żywiołowo drogę sobie torującej, sprawiedliwości. Stan podniecenia, w jakim się znajdują, ma być niby dowodem ich wielkiego przejęcia się sprawą, którą sądzić mają, a jest istotnem źródłem wyroku, który w tym nadewszystko razie musiał tak wypaść, jak wypadł. Moi sędziowie, ludzie, tak postąpili, jak ludzie, i to ludzie w stanie podniecenia.

Niech czytelnik nie bierze mi za złe słów powyższych. Nie są one odwołaniem się do innego, niż tamten trybunału. To ja zrobiłem już dawno z najlepszym skutkiem, i jeszcze nim tę książkę napisałem opinia publiczna odmówiła uznania wyrokowi sądu hanowerskiego i wróciła mi bez żadnych zastrzeżeń prawo przemawiania do narodu we wszystkich jej organach.

Więc niedlatego opowiadam tu dzieje tej chwili mojego życia, aby się bronić. Lecz dlatego, aby zwrócić uwagę ogółu *na stosunek*, zachodzący *pomiędzy wyrokiem sędziego, sądem i skazanym*, Te braki, które moja sprawa ujawniła, istnieją prawie w każdej. Skazany idzie do więzienia, obciążony nie wyrokiem sprawiedliwości, nawet nie takim, któryby mniej więcej trzymał się w granicach prawa, lecz najczęściej dostaje się tam, jako ofiara pomyłki co do winy i co do prawa, a prawie zawsze jako ofiara niedostatecznie wyjaśnionych okoliczności swego postępku. W rezultacie schodzi do tego, że większość skazanych przez nasze ustawy karne swojej nieprawości może przeciwstawić im wyrządzone bezprawie. Świadkowie nieprzychylnie zeznający, którym sąd całkiem wierzył, udowodnienie winy, wyrok — to wszystko, co wypływa z natury kryminalnego uprzedzenia, podane przeciw oskarżonemu jest legitymacyą winnego.

„Sądzić macie sam fakt, nie to, co go poprzedziło.“ A tymczasem i przestępstwo i przestępca w rzeczywistości wyglądają zupełnie inaczej, niż się jego sędziom i światu wydaje. Jeśli trudno w dochodzeniu sądowem zapewnić prawdzie zwycięstwo, to bezwarunkowo trudniej jeszcze określić miarę winy przestępcy. Przypadek, wrażenie, podniecenie składają się na nasz sąd o nim — który bywa niekiedy łagodny, lecz częściej, twardy, okrutny, wrogi. Nastrój, wrażliwość, sympatya i antypatya sędziego z dnia na dzień się zmieniają, nawet wieczorem nie bywają już takie, jak rano i pod koniec długiego posiedzenia są już inne, niż były na początku. A głód sędziów, wyczerpanych długiem siedzeniem ileż to razy wpływa na wyrok! I nie może być inaczej, gdyż ci sędziowie są ludźmi.

* * *

„Trzy lata więzienia poprawczego.“ Nie wyrok, lecz scena, która go poprzedziła— zmiażdżyła mię. Jednakowoż opanowałem się prędko. Na rozkaz przewodniczącego zakuto mię w kajdany. Rozśmieszyło mię to rozporządzenie. Na zewnątrz spotkały mię tłumy. To com słyszał i widział, gdym wśród nich przechodził, wróciło mi całkiem poczucie mojej godności: „Ten złamanym bynajmniej się nie wydaje“ — mówił jeden. „W długiem życiu publicznem człowiek staje się twardym“ — odpowiedział mu drugi. Twardym nie czułem się jednak, tylko silnym, a prócz tego: zaczynałem oddychać.

Do więzienia też weszło ze mną to uczucie oswobodzenia. Poraz pierwszy zrozumiałem, jak strasznym przymusem jest konieczność kłamstwa i udawania, jak wiele rzeczy ona wymaga i usprawiedliwia.

(D. n.).

aby temu brakowi zapobiedz, nic jednak nie pomaga. Nawet specyalne dodatki do pensyj są bezsilne, gdyż nauczyciele gromadnie wynoszą się na zachód. Porządniejsze, niezdemoralizowane żywioły wśród nauczycielstwa niemieckiego nie mogą już znieść stosunków, panujących na wschodzie, gdzie im każą uczyć dzieci w niezrozumiałym języku, gdzie chodzi nie o nauczanie, tylko o germanizacyę. Nienawiść, jaką otacza ludność nauczycieli, nie jest dla nich naturalnie przyjemna, to też każdy, kto nie chce iść w ślady osławionych Winterów i Koralewskich, ucieka z tego piekła.

Obecnie rząd zamierza, oprócz zakładania dalszych nowych seminaryów i instytucyj przygotowawczych, udzielać niezamożnym uczniom stypendyów państwowych w kwocie 180 marek rocznie, a seminarzystom w kwocie 120, poza konwiktem zaś 210 marek rocznie. Prócz tego powinnością nauczycieli i inspektorów powiatowych jest skierowywanie uzdolnionych uczniów na drogę kształcenia się na nauczycieli. Wątpić jednakże można, czy i to pomoże, gdyż do nowych seminaryów i preparandów prawie nikt się nie zgłasza. Bo np., do seminaryum, otwartego 15 października w Rogoźnie zgłosił się... jeden uczeń. Resztę musiano sprowadzić z innych zakładów dla uniknięcia kompromitacyi, choć tam bynajmniej nie było przepełnienia, mogącego usprawiedliwić taką tranzlokacyę.

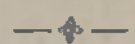
Obecnie postanowiono założyć w Lesznie katolickie seminaryum dla nauczycielek. Ciekawe uwagi wygłasza z tego powodu *Posener Zeitung*. Zdaniem tej gazety kobiety nie nadają się do zawodu nauczycielskiego w Poznańskiem, gdzie uczenie niemieckiej mowy i niemieckiego usposobienia zależą jedynie od „silnego“ oddziaływania na dorastające pokolenie. W obecnych czasach nawet „rubaszna siła mężczyzny ledwo wystarczy do skutecznego popierania niemczyzny.“ Z tego powodu *Posener Zeitung* potępia zamiar założenia seminaryum żeńskiego w Lesznie i twierdzi, że brak nauczycieli da się tylko wówczas usunąć, jeśli pensye nauczycielskie zostaną znacznie podniesione. A więc dobrze opłacona „rubaszna siła“ oto najnowszy środek szerzenia oświaty według zdania liberałów niemieckich!

System zapomóg dla Niemców, działających na wschodzie, uważany jest przez rząd i hakatystów za jedyny zdaje się sposób pozyskania ich dla spraw ojczyzny niemieckiej. W etacie państwa pruskiego i tym razem figurują zapomogi dla duchowieństwa na wschodnich kresach. Te zapomogi mają odbierać księża i pastorzy w tych okolicach, gdzie Niemców katolików, albo luteranów jest stosunkowo mało, a ludności polskiej dużo. Według zdania hakatystów władza duchowna zaniedbała Niemców katolików w polskich stronach, to też księża katoliccy muszą być wspierani przez rząd, aby zapobiegali polszczeniu się Niemców katolików w polskich parafiach. Obecnie komisya kolonizacyjna nie może w swych nabytkach osadzać kolonistów-katolików, bo ci łatwo się spolszczą. Dopiero wówczas, kiedy księża dadzą rękojmię, że będą zapobiegali polonizacyi kolonistów, można będzie bez żadnych obaw kolonizować wschód katolikami.

Co do pastorów luterańskich, to mają pobierać zapomogę głównie ci, którzy mieszkają z niewielką garstką swych współwyznawców w polskich okolicach. Mają oni być tak uposażeni, aby nie mieli kłopotów materyalnych i posiadali jeszcze trochę grosza, aby ich dom mógł służyć Niemcom za środowisko życia i ognisko ducha niemieckiego.

Te zapomogi dla nauczycieli, księży i pastorów nie są niczem nowem. Nowością są natomiast zapomogi dla urzędników pocztowych i telegraficznych w dzielnicach polskich. Obecnie w statucie Rzeszy, ułożonym przez niemieckie rządy związkowe, znajduje się 600,000 marek, przeznaczonych właśnie na te zapomogi. Po raz pierwszy rząd pruski w walce z Polakami sięga do skarbu Rzeszy. Można więc oczekiwać ciekawych debatów w tej sprawie.

Pośrednik.



Listy z Francyi.

—♦—

Projekt prawa o zamknięciu szkół, utrzywywanych przez kongregacye upoważnione. — Odrzucenie projektu prawa, ustanawiającego sądy rozjemcze dla pracowników handlowych. — Walka o zniesienie biur stręczenia pracy.

Izba deputowanych, senat i rząd zajmują się wciąż kwestyą zakonów we Francyi. Po dawnemu uchwalili na rok przyszły budżet wyznań, ambasadę przy Watykanie oraz dziesiątki tysięcy franków na utrzymanie misyonarzy w koloniach.

W tym roku radykali mniej niż kiedykolwiek opierali się wotowaniu milionów na podtrzymanie religii, nie chcieli bowiem szkodzić obecnemu ministeryum i na razie ustąpili przez zmysł polityczny, który zawsze niestety prowadzi do zmniejszenia żądań, zmiany programów, obniżenia ideałów i ustępstw. Upoiła ich obietnica prezesa ministrów Combes'a, dana w ostatnich czasach w senacie, że przedstawi projekt do prawa, zabraniającego nauczania w szkołach zakonom nawet upoważnionym. Istotnie utworzoną została komisya i zebrano ciekawe dane urzędowe. Wbrew zapewnieniom prasy, broniącej wprost lub pośrednio zakonów, okazało się, że nawet na prowincyi zniesienie wszystkich szkół kongregacyjnych, upoważnionych, nie pociągnie za sobą wydatku sum bajońskich i że może być ono urzeczywistnione w bardzo krótkim czasie. W całej Francyi, nie licząc kolonij, upoważnione kongregacye mają obecnie 3,494 szkół elementarnych, z których 1,299 męzkich i 2,195 żeńskich; Paryż z przedmieściami posiada 63 szkół męzkich i 57 żeńskich. Podzielono je według raportów prefektów na cztery kategorye odpowiednio do możliwości natychmiastowego ich zamknięcia i przeniesienia uczącej się młodzieży do zakładów świeckich, rządowych. Widać z nich, że młodzież z połowy przeszło szkół kongregacyjnych mogłaby znaleźć natychmiastowe pomieszczenie w świeckich, publicznych zakładach naukowych. Do drugiej i trzeciej kategoryi należą te szkoły, których zniesienie wymagałoby powiększenia istniejących szkół rządowych, lub najęcia odpowiednich lokalów, czwartą wreszcie kategoryę stanowi zaledwie 600 szkół, których skasowanie wymagałoby założenia nowych zakładów naukowych, rządowych.

Nie ulega więc wątpliwości, że zamknięcie szkół utrzymywanych przez upoważnione kongregacye jest możebnem bez nadzwyczajnych wysiłków budżetowych, lecz przedewszystkiem należałoby znieść 1,300 szkół kongregacyj nieupoważnionych, co do których zawieszono chwilowo dawny dekret. Czy jednak dziatwa i młodzież francuska będzie istotnie pobierać wówczas wykształcenie świeckie w duchu humanitarnym i postępowym, czy przewodzić jej będą świeccy nauczyciele i wychowawcy, a nie klerykali? Wszak na 10,049 szkół nieupoważnionych, a zamkniętych w ciągu ostatnich 18 miesięcy znakomita większość otwartą została ponownie, jako szkoły prywatne, świeckie, gdzie jednak ani program, ani metoda, ani duch nie uległy zmianie, a personel, choć nie odziany w suknie zakonne, w istocie rzeczy jednak nie różni się niczem od poprzedniego.

W ostatnich czasach mieliśmy sposobność poznać gruntownie jedną z takich głośniejszych istytucyj wychowawczych dla dziewcząt w pobliżu uroczego lasku Vincennes. Dawniej był to pensyonat, prowadzony przez zakonnice „Mères blanches“, obecnie zaś nosi nazwę „Institut Sévigné“, i na tej zmianie tytułu ogranicza się cała uległość prawu. Zresztą wszystko pozostało po dawnemu, program nauk i zajęć,—jak również regulamin, pozostały też same. Na czele zakładu stoi wprawdzie osoba świecka, ale całą duszą oddana klerowi i wychowana w klasztorze; nie ona jednak jest istotną kierowniczką wychowania, to bowiem spoczywa w rękach byłej zakonnicy, do niedawna przełożonej zakładu naukowego w Bordeaux, zajmującej w oczach rządu skromne stanowisko gospodyni t. zw. économe. Wszystkie nauczycielki, posługaczki, infirmierki, aptekarka, a nawet odźwierna, są to dawne zakonnice, które zmieniły ubiór z nakazu swej zwierzchności, ale zachowały układną postawę, właściwe sobie maniery i pozorną pokorę. Charakterystycznem jest, że ani nauczycielki, ani posługaczki nie pobierają pensyi, cały bowiem dochód przelewany jest do kasy zakonnic w Bordeaux. Wszystko tak jest obmyślone i przewidziane, że w razie procesu, wytoczonego przez rząd, nikt materyalnie nie może być odpowiedzialny, gdyż dyrektorka majątek swój przepisała na cudze imię, a gmach i ruchomości Instytutu Sévigné są własnością osoby postronnej. Rząd jest doskonale powiadomiony o bezprawiach tego zakładu, jak również wielu innych, w ten sposób obchodzących prawo, nie czuje się jednak dość silnym, aby wymagać ścisłego przestrzegania prawa. Woli też dla uspokojenia niecierpliwiących się radykałów przedstawić nowy projekt prawa, zabraniającego utrzymywania szkół kongregacyom upoważnionym.

Lud pracujący poznał się już na słabości i chwiejności ministeryum Combes'a. Nie wyszedłby on już teraz na ulicę z okrzykiem „Vive Combes,“ jak to uczynił przed rokiem. Co prawda i dlatego, że w obecnych czasach i w parlamencie i w łonie ministeryum sprawy robotnicze zeszły całkiem na drugi plan. Jakby dla ich przygłuszenia podnoszą długie doktrynerskie rozprawy o monopolu i wolności oświaty, ustanawiają komisyę z deputowanych dla przejrzenia aktów sprawy Humbertów, wznawiają rewizyę procesu Dreyfusa, odkładając ad calendas graecas wiele projektów do praw i reform. A tymczasem francuski lud robotniczy coraz świadomszym jest swych praw, coraz energiczniej domaga się polepszenia swej doli, a jednocześnie coraz bardziej traci ufność do parlamentu, który w kwestyach ekonomicznych, w sprawach robotniczych tylko pod wielkim z zewnątrz naciskiem i groźbą gotów przystać na jaką reformę postępową.

Przed kilku tygodniami np. senat odrzucił projekt prawa, według którego pracownicy handlowi mogliby w sprawach spornych z pracodawcami odwoływać się do sądów rozjemcych t. zw. Prud'hommes, jak to czynią robotnicy wszelkich gałęzi przemysłu. Po latach 15-tu oczekiwania na to prawo, po szeregu petycyj, próśb i upokorzeń senat znowu odmówił spełnienia tego umiarkowanego i słusznego żądania. Pracownicy handlowi w dalszym ciągu będą więc musieli zdawać się na łaskę swych pracodawców, albo też pociągać ich do odpowiedzialności sądowej, narażającej na znaczne koszta i stratę czasu.

Jeszcze lepiej ilustruje reakcyjność francuskiego parlamentu w kwestyach ekonomicznych jego zachowanie się w sprawie zniesienia biur stręczenia pracy, o których mówiliśmy już w *Prawdzie* na początku 1902 r.

Projekt prawa, dotyczącego zniesienia tych jaskiń złodziejstwa, oszustwa i pro-

stytucyi, już od lat 20-tu jest podnoszony w parlamencie, w coraz nowej formie uchwalany i... odsyłany do ponownego rozpatrzenia bądź do Izby, bądź do senatu, gdzie całe miesiące, lub lata czeka na swą kolej. W rzeczywistości wraca pod obrady wówczas, gdy sami robotnicy zaczynają się domagać zniesienia płatnych biur stręczenia. W ostatniej Izbie deputowanych zmieniony przez senat projekt leżał w archiwum 22 miesiące, a jednak chodziło tu o półtora miliona pracowników: piekarzy, cukierników, rzeźników, wędliniarzy, obsługujących w handlach korzennych i restauracyach, winiarniach i szynkach, młynarzy, służących w domach prywatnych, hotelach i biurach, farbiarzy, wreszcie nauczycieli prywatnych, muzykantów i śpiewaków. A leżałby nietknięty jeszcze dłużej w komisyi pracy, gdyby nie kongres robotniczy fryzyerów w Orleanie w miesiącu wrześniu, oraz pracowników zakładów spożywczych w Lyonie w październiku, domagający się wyraźnie walki o zniesienie płatnych biur stręczenia, gdyby nie cały szereg zebrań coraz burzliwszych i liczniejszych.

Na razie i w komisyi pracy w Izbie i w ministeryum Combesa odpowiedziano delegacyom robotniczym, że niepodobna zająć się tą sprawą przed zawotowaniem budżetu i zakończeniem kwestyi kongregacyj. Dopiero nazajutrz, 30 października, po znanych zajściach w paryskiej Giełdzie pracy, kiedy Conféderation générale du Travail wzięła w swe ręce walkę o zniesienie biur stręczenia pracy i wydała cały szereg odezw, dopiero wtedy komisya pracy w Izbie i deputowani okazali niebywałą gorliwość i rzadki pośpiech, bo we 24 godzin złożyli projekt prawa do prezydyum, a w trzy dni potem Izba je uchwaliła i przesłała znowu do senatu.

W prawdzie prawo to jest bardziej wstecznem od tego, jakie w r. 1848 wydał prefekt policyi, gdyż obecne znosi płatne biura stręczenia pracy po upływie lat 5 i za stosowną indemnizacyą, gdy tymczasem przed pół wiekiem miały być zniesione bezzwłocznie i bez żadnej zapłaty, a w r. 1901 Izba uchwaliła również zniesienie ich bez indemnizacyi.

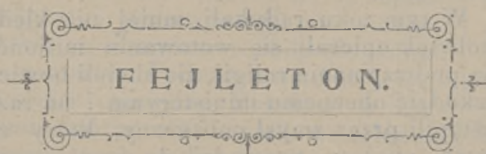
Z jednej strony indemnizacya będzie prejudykatem na przyszłość we wszelkich reformach społecznych, z drugiej nader dziwnem musi się wydawać wynagrodzenie właścicieli przedsiebiorstw, uważanych powszechnie za zakłady żyjące oszustwem i wyzyskiem biedaków.

Według tego prawa, żadne nowe biuro nie może już być założone, a dawne mogą być wykupywane przez miasta. Obliczają ogółem, że indemnizacya za wszystkie biura, których w Paryżu i na przedmieściach jest 292, a na prowincyi 1,163, wynosić będzie do 6 milionów franków, z których na państwo i departamenta przypadnie po pół miliona, a reszta na gminy i miasta.

Nie zapobiegnie też ono nadużyciom i obniżaniu płacy, gdyż nie ogranicza zakładania biur stręczenia pracy do związków robotniczych i giełd pracy, a upoważnia do tego merostwa, Towarzystwa wzajemnej pomocy, oraz syndykaty mieszane lub wyłącznie z pracodawców złożone, łatwo więc przewidzieć, że wszystkie te instytucye służyć będą więcej interesom pracodawców niż pracowników i nie wezmą sobie za zadanie utrzymania pewnej taryfy co do płacy.

A jednak to umiarkowane prawo, tak nieodpowiadające duchowi czasu, wydaje się senatorom zbyt radykalnem, zbyt ograniczającem wolność człowieka, a raczej — wolność handlu żywym towarem. Już teraz napół uśpieni, zdziecinniali ojcowie narodu przemyśliwają nad tem, jak je zmodyfikować, jak znieść wszystkie ograniczenia. Wątpić jednak należy, czy urzeczywistnią swe wsteczne zamiary, gdyż robotnicy francuscy agitują ogromnie za zniesieniem biur stręczenia. Od sześciu tygodni w Paryżu niema dnia, ażeby na giełdzie pracy jaki związek zawodowy nie urządzał w tym celu zebrania. Na prowincyi delegaci paryskiej giełdy pracy i Conféderation générale du Travail urządzają niezmordowanie mityngi we wszystkich ważniejszych miastach. Dnia 5 b. m. o jednej i tej samej godzinie w stu kilkunastu miastach Francyi odbyły się liczne zebrania ludowe, urządzone wyłącznie przez robotników; wszędzie uchwalono jednakie żądania. Dziś cała prowincya jest poruszona: w Bourges piekarze opuścili pracę, w Clermont-Ferrand — woźnice, w Lyonie tysiące robotników strejkuje, w Brest miały miejsce zaburzenia uliczne, w Marsylii i Bordeaux szykują się do bezrobocia, Paryż oczekuje tylko chwili sposobnej. Jedynie rychłe zniesienie płatnych biur stręczenia pracy i to bez indemnizacyi mogłoby uspokoić wzburzone umysły robotniczej rzeszy francuskiej.

Dr. Józef Zieliński.



LIBERUM VETO.

Szlachta ras.

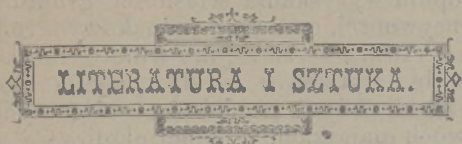
Żaden inny symbol nie wyraża lepiej śmiałych i chybionych zamiarów naukowej pracy człowieka, niż wieża Babel. Od wieków wznoszą ludzie ze swej wiedzy budowę, która szczytem ma sięgnąć do nieba i przy której ciągle ulegają takiemu pomieszaniu języków, że nie mogą spiesznie posuwać jej w górę, a tem mniej skończyć. Na ostatniem jej piętrze, w dziale socyologii, murują od niedawna osobną komnatkę twórcy „antropologii politycznej,“ między którymi najenergiczniej krząta się znany (z przekładu jednej książki) czytelnikom polskim Woltmann. Podjął on wielokrotnie przed nim planowaną i dalej rozwinął teoryę ras, jako głównego czynnika kultury i regulatora praktycznych działań państwa. Fizyologiczną podstawą życia społecznego jest — według niego — rasa, która je tworzy. W różnicach ras spoczywa nietylko ich odmienność, ale także wartość, która jedne stawia wyżej i daje im prawo do panowania, a drugie niżej i skazuje na poddaństwo, więc te stosunki muszą się odbijać w ich uwarstwowaniach. Niewolnictwo — jak słusznie zauważył Arystoteles — ma swoją podstawę w naturze ludzkiej. Również nowoczesna klasa robocza jest wynikiem doboru społecznego, który ją przez szereg pokoleń wytworzył i ciągle jej braki uzupełnia.“ Do rozumu, który tę wielką prawdę odnalazł, podbiega wola, która otrzymuje od niego bardzo jasną wskazówkę postępowania w „antropologii politycznej, stosowanej.“ Skoro bowiem wysokość kultury zależy od siły i przewagi „szlachty ras,“ należy więc usilnie starać się o hodowlę tego najdoskonalszego szczepu ludzkości i o zachowanie go w możliwie czystym stanie. Wobec doniosłości tego celu wszystkie środki skuteczne są usprawiedliwione, a więc: wychodźstwo dobrowolne i przymusowe, bezdzietność, bezżeństwo, a nawet tępienie (Ausrotten). Jeżeli społeczeństwo nie „oczyszcza się“ dostatecznie drogą naturalnego rozwoju, trzeba mu pomódz w tym procesie kulturalnym przez wypędzanie dorosłych, niszczenie dzieci i zagładę „domieszek,“ które powstrzymują w nim postęp cywilizacyi. Jest to zadanie „hygieny ras,“ wcielonej w organizacyę państwa.

Tu zachodzi praktycznie najważniejsze pytanie, zawierające w sobie jądro rzeczy, mianowicie: która z ras przedstawia ich „szlachtę“? Rozumie się — biała, północna, blondynowa, kaukaska, która wreszcie w wywodach Woltmanna wynurza się jako germańska. Ona była matką „kultury europejskiej nawet w krajach słowiańskich i romańskich,“ jej dziełem są najpotężniejsze instytucye, z jej łona wyszły najgenialniejsze duchy. Dawniej już „udowodniono,“ że Chrystus był „właściwie“ Germaninem. Do tegoż szczepu włącza Woltmann Dantego, a także innych bohaterów historyi. Ot np. Cezar. Przyjrzyjcie się — powiada — jego czaszce. „Czysto germańska“! W ten sposób łatwo „stwierdzić“ pochodzenie innych olbrzymów i ostatecznie wywnioskować, że rasa germańska przeznaczona jest do „zapanowania nad całym światem.“ Naturalnie musi ona jeszcze odbyć długą pracę „oczyszczania się“ z najrozmaitych pierwiastków antropologicznych, które w nią wrosły i ciągle występują jako mieszańce i zwyrodnienia typu pierwotnego. Na szczęście posiada ona dość pomysłowości w wynajdywaniu środków i dość mocy w stosowaniu ich. Już dziś „uświadomiła sobie“ swoje przewodnie i zwierzchnie posłannictwo, „oparte na podstawie naukowej,“ już w epoce Bismarka dokonała wielu chwalebnych czynów ujarzmiania lub tępienia „niższych plemion,“ ale to zaledwie początek ogromnej roboty. Zważmy bowiem, że w żyłach obecnej rasy germańskiej płynie dużo krwi obcoplemiennej, która ustawicznie zdradza swe pochodzenie. Z par jasnowłosych i niebieskookich rodzą się bruneci i szatyni z oczywistymi śladami domieszek, które skaziły szlachetny typ w przodkach. Co począć z takiemi dziećmi? Porzucać je pod jakąś kolumną — jak niegdyś — ażeby tam marły, prawie niepodobna. Chociażby państwo zgodziło się na taki edykt, rodzice mu się oprą. Trzeba więc powoli i systematycznie przeprowadzać hodowlę „czystej rasy“ zapomocą „wszelkich możliwych środków.“

Czem właściwie jest to gadanie? Jest to jeden z najstarszych i dobrze znanych płodów tego sodomickiego gwałtu, którego od wieków dopuszcza się na nauce brutalny interes. W dziejach swoich miała ona bardzo nieliczne chwile niepodległości; zwykle zaś była znieprawianą służebnicą najrozmaitszych „panów“ życia. I dotychczas pozostała na tem sromotnem stanowisku. Ażeby je osłonić pozorami dostojeństwa, ubierano ją zawsze w koronę, dawano berło do ręki i sadzano na tronie, jak owych królików murzyńskich, którym zdobywcy europejscy pozwalają odgrywać komedyę majestatu, a za najlżejszy opór wybijają zęby. Biedna, udając całkiem niezależną wiedzę i niczem nieskrępowaną wolę, wypowiada drżącemi ze strachu ustami wszelkie brednie, jakie jej pogromcy nakażą lub podszepną. Szachruje, podrabia dowody, wykręca wnioski i przysięga, że mówi najrzetelniejsze prawdy. Z tych jej wiadomości i kłamstw powstają całe biblioteki „poważnych“ dzieł przyrodoznawstwa, prawa, historyi, filozofii, lingwistyki itd., na nich kształcą się szeregi młodych pokoleń, z nich czerpią światło miliony łatwowiernych ludzi. Obok zaś świadomych fałszerzy nauki pracuje w tymże samym kierunku może liczniejsza od nich gromada bezwiednych. Ci, nie zdając sobie jasno sprawy ze swych pragnień i dążności, poddają się ich mocy i urokowi, wyłączają przeciwne a naciągają zgodne z niemi fakty, wykrawają z rzeczywistości obrazki według sztucznie nakreślonego wzoru. Nie można ich posądzić o bezwzględnie złą wiarę i wolę, ale niepodobna również nie dostrzedz, że wyzyskują naukę na korzyść usiłowa-

nego interesu. Taką wartość ma teorya Woltmanna i wogóle wszystkie teorye szlachectwa rasowego, które — nie z przypadku, ale z logiki rozwoju stosunków obecnej doby — najczęściej wysławiają germańską. Pomijając fałszerzów świadomych nauki, którzy niczego strzedz się nie potrzebują, prócz niezręczności w przestępstwie, wszystkim bezwiednym należałoby ciągle przypominać obowiązek pilnego przestudyowania tych ustępów psychologii, w których jest mowa o działaniu uczuć na wiedzę. Niejeden zapewne ubezpieczyłby swój umysł od tego fatalnego wpływu i nie wprowadził go w sofistyczne bagno. Możeby go uniknął również Woltmann. Jego teorya jest odbiciem faktycznej przewagi siły Niemców w świecie i zwiazanej z nią zuchwałej pychy, w której daleko wyraźniej odzywają się instynkty ras niższych, niż wyższych. Jest to zresztą teorya, która od niepamiętnych czasów wysługiwała się wszystkim dzikościom kultury; jest to stary, wyszarzany i okrwawiony płaszcz, który wdziewali wszyscy kaci i bandyci polityczno-społeczni. Gdy już u zahukanej moralności nie mogli znaleźć usprawiedliwienia dla swych niecnych czynów, kazali świadczyć za sobą nauce, która im na obronę ściągała dowody niższości szczepowej skrzywdzonych ofiar. Tak postępowali Greko-Rzymianie wobec niewolników, tak chrześcianie wobec Żydów, tak Europejczycy wobec Indyan amerykańskich, Murzynów i Mongołów, tak wreszcie wszystkie narody zdobywcze wobec ujarzmionych. Tylko moda stroju naukowego tej teoryi zmienia się i doskonali, jej istota pozostaje jednaką. Gdyby ona trzymała się przy życiu samą tylko prawdziwością, dawno by zdechła wraz z wymarłymi gatunkami potworów zwierzęcych, które były jej rówieśnikami; ale ponieważ odradza się ciągle jak Feniks z popiołów walki o byt, więc grasuje dotąd w rozmaitych skórach doboru naturalnego. Gdyby zaś Woltmann zastanowił się tylko nad zuchwalstwem swojej „hygieny rasowej," fabrykującej czystych Germanów i swego proroctwa, przepowiadającego im w przyszłości wyłączne panowanie nad światem, gdyby pomyślał, że on, skromna jednostka, śmie rozstrzygać losy i wyznaczać drogę pochodu całej ludzkości, ogarnęłoby go głębokie obrzydzenie do „szlachty rasy," do „germańskich czaszek" Cezarów i do takiej „antropologii politycznej."

Poseł Prawdy.



LITERATURA I SZTUKA.

ZE SZTUKI.

Siemiradzki i Malczewski. — Wystawa w Zachęcie.

Czasem zestawienie dwóch prac artystów ułatwia niezmiernie charakterystykę ich talentu, a trudno o silniejsze przeciwstawienie, jak to, które mamy obecnie w dwóch wystawach w Zachęcie: w pośmiertnej Henryka Siemiradzkiego i prac Jacka Malczewskiego.

Obaj artyści jeszcze nie doczekali się ustalonego o sobie sądu, jaki już mniej więcej mamy np. o Matejce. I nic dziwnego. Pierwszy zmarł zaledwie rok temu, a drugi — żyje i niech nam tworzy bodaj przez sto lat jeszcze.

Jeśli o każdym z nich niema jeszcze jednego sądu, za to każdy zdobył już sobie po dwa i to niezmiernie krańcowe.

Siemiradzki dla jednych jest znakomitym odtwórcą klasycznej Romy, a dla drugich — mydlarzem, malarzem słodkich etykiet na karmelki itd. Malczewskiego jedni uważają za genialnego twórcę nowych kierunków w sztuce polskiej, dla innych jest on fabrykantem rebusów do nagrody.

Między temi opiniami krańcowemi znajduje się naturalnie cały szereg sądów pośrednich. Sprzeczności w nich są tak wielkie, że spotykając znajomego na wystawie, niepodobna przewidzieć, czy znajdziemy w nim zawziętego przeciwnika, czy też goracego stronnika naszych własnych poglądów, więc wyrażamy swe zdanie tylko półgębkiem, sondując ostrożnie, czy nie dostanie nam się za to nazwa episiera, mydlarza, kretyna lub „innego impresyonisty."

W każdym razie dwie te sąsiadujące ze sobą sale są biegunowo różne.

Obaj posiadają technikę wspaniałą, ale jest ona odmienna, tak samo jak i duch ich twórczy.

Wielka harmonia tonów Siemiradzkiego, wspaniałe krajobrazy, służące za tło do scen południowych, nadzwyczajne wyczucie miękkości i delikatności skóry młodego ciała kobiecego stanowi silny kontrast z twardszą, ale i solidniejszą plastyką Malczewskiego. I Malczewski jest wielkim mistrzem harmonii barw, ale te barwy są u niego silne, intensywne, faktura na pozór brutalniejsza, ale już na pewną odległość łagodnieje, zachowując całą swą siłę i jędrność.

Możnaby powiedzieć, że gdy Siemiradzki kochał się w półtonach, to Malczewski kocha się w barwach pełnych.

Malczewski był zawsze plastykiem, ubiegającym się o kontrastowość światłocienia, tylko z czasem porzucił dawną technikę monachijską, a przejął się w pewnym stopniu zasadami impresyonistów francuskich. Dwa dawniejsze obrazy aresztanckie, choć całkiem odmiennie malowane, jednak wykazują najlepiej wspólne z dzisiejszemi upodobanie artysty do kontrastów.

Lecz najbardziej różni dwóch omawianych mistrzów strona duchowa kompozycyi. Ogólną cechą postaci Siemiradzkiego jest obojętność. Twarze ich to maski spokojne i bierne. Jeśli jakie uczucie je ożywi to czysto fizyczne: śmiech hulaszczy, lub przestrach zwierzęcy na widok grożących bólów fizycznych albo śmierci.

U Siemiradzkiego nikt nie cierpi głębiej duchowo, a nawet często i fizycznie: — ani ci, których przywiązują do krzyżów, ani ci, co na to patrzą. Najtragiczniejsze sytuacye posiadają tylko obojętnych widzów. Pojedyncze postacie Siemiradzkiego nie wyrażają dramatu, w jakim biorą udział, a widz dowiaduje się o nim tylko z ogólnej scenizacyi i akcesoryj.

U Malczewskiego dzieje się wręcz przeciwnie. Każda postać ludzka cierpi i co ciekawsze, choć artysta wyraża często to cierpienie środkami najprostszymi, np. jako fizyczne krwawienie się rąk w kajdanach itp., to jednak widz nie ma wątpliwości ani chwili i odczuwa cały symbolizm tego cierpienia, jako czysto duchowego.

Siemiradzki tylko wtedy daje typy szpetne, gdy już tego niezbędnie wymaga treść kompozycyi. Po za tem ubiega się o twarze młode i piękne, które jednak nie budzą w widzu silniejszych wzruszeń, bo dusza w nich śpi.

Malczewskiego bohaterowie są po większej części nietylko brzydcy, ale często nawet pospolici, jako typy, a jednak po chwilowem patrzeniu zapominamy o tem. Urok wzruszeń, malujących się na ich twarzach, każe zapomnić o ułomnościach fizycznych i cierpimy z cierpiącymi, zasłuchujemy się w kwilenie ptaszyny z zasłuchanymi, marzymy z rozmarzonymi. Umyślnie pominę wybitniejsze kompozycye, a zwrócę uwagę na bardzo skromny i prosty w założeniu obrazek, gdzie kilku biedaków pije herbatę. Jaka tam wielka siła wyrazu! Napróżno szukalibyśmy jednego giestu teatralnego, lub konwencyonalnego. Każdy szczegół przyczynia się do spotęgowania wrażenia, że tym ludziom jest zimno i że mają masę wolnego czasu, z którym nie wiedzą, co począć. Wszyscy dłońmi opłatują szklanki herbaty, żeby nie dać się zmarnować tej cząstce promieniującego cieplika. Żadna rozmowa nie ożywia milczącego zgromadzenia. Zdaje się, że usłyszymy cykanie wahadła zegarowego, a oczy ich wpatrzone w okno bynajmniej nie widzą tego, co się po za niem dzieje, ale patrzą szklanne i niby bezmyślnie, a jednak pełne troski i cierpienia. Gdyby tam nie patrzyły, musiałyby błąkać się po sąsiadach, a zdaje się, że każdy z nich najstaranniej tego unika. Bieda wstydzi się samej siebie. Z tej sceny na pozór biernej, martwej i niemalowniczej Malczewski stworzył obraz pełen bólu i cichej rezygnacyi.

U Malczewskiego irytuje czasem ten upór, z jakim wielokrotnie powtarza ten sam motyw i ten sam temat.

Wiecznie portret z nieodzownym dodatkiem fauna lub muzy. Wiecznie ta sama Chimera o kształtach kobiety i tygrysa ze zmianą tylko koloru skrzydeł i futra. Wiecznie te kajdany i wydobywanie z nich dłoni skrwawionych.

Lecz monotonność ta jest tylko pozorną. Każda twarz, czy to żywego człowieka, czy jakiej postaci fantastycznej, ma sobie tylko właściwy charakter indywidualny. Mogą być sytuacye pozornie podobne, ale zawsze pojęte odmiennie i dążące do własnego celu.

Siemiradzki w swych kompozycyach jest bardzo dekoracyjnym. Posiada wielką łatwość wdzięcznego układu, co popiera dużą sumiennością w opracowaniu szczegółów, ale możnaby było bez szkody dla jasności kompozycyi zmieniać lub usuwać niektóre pojedyncze postacie, bo akcya zwykle wiąże się luźno.

Malczewskiego zaś przejmuje przedewszystkiem wyrażenie samej myśli, która go popchnęła do wykonania dzieła. Wszystko więc, co jest na obrazie, dąży do uplastycznienia tej myśli i wiąże się w jedną nierozerwalną całość. Wprawdzie Siemiradzki na tej wystawie źle jest przedstawiony, bo mało znajdujemy jego prac wybitniejszych. Ogół tworzą studya fragmentów lub szkice, a co gorsza tylko redukcye dzieł wybitniejszych.

Będziemy zawsze przyglądali się z ciekawością pierwotnym szkicom, które służyły do wyrażania pierwszego pomysłu kompozycyjnego, bo w nich zaznaczyła się droga powstawania dzieła w duszy i umyśle artysty. Za to *powtórzenie* w zmniejszonych rozmiarach większych kompozycyj nietylko nie przedstawia żadnego interesu lub nowego materyału dla krytyka, lecz robi w dodatku niemiłe przypomnienie sklepu, mającego towar na wszystkie ceny. Duże egzemplarze droższe — mniejsze tańsze. Zupełnie jak na Jasnej Górze w kramie z cudownymi obrazkami.

W redukcyach takich wszystko jest powtórzone na zimno, przez kratkę, wykończone i wygładzone, bo tak publiczność lubi.

U Malczewskiego każdy obraz pulsuje tem życiem twórczem, jakie go na świat wydało. Dlatego wystawa Siemiradzkiego być może, że nawet wywołuje pewne rozczarowanie, gdy wystawa Malczewskiego doskonale przyczynia się do ustalenia i spotęgowania wiary w talent artysty. Nawet niektóre prace stają się mniej zagadkowemi i rebusowemi, gdy je widzimy zbiorowo, bo tworzą cykle luźno związane.

Streszczając się, można więc powiedzieć, że Siemiradzki był wytwornym, ale chłodnym dekoratorem, odczuwającym tylko wewnętrzne cechy człowieka, gdy Malczewski snuje swe kompozycye z głębi ser-

ca, tworząc nie dla pięknych linij i plam barwnych, ale dla wypowiedzenia tego, co dusza odczuwa

* * *

Dwie boczne sale zajęły zbiory Towarzystwa tak, że na wystawę bieżącą pozostała tylko jedna salka i zastanawialiśmy się, gdzie się podziały te dawne rzędy obrazów piętrzących się jedne nad drugiemi? Czyżby artyści nasi przestali malować, czy wystawiają gdzieindziej, czy też jury wystawowe stało się daleko surowszem? Jeśliby to ostatnie przypuszczenie było słusznem, to w każdym razie musiała się w tem sicie zrobić jakaś dziurka, przez którą przeleciał nad wyraz nieudolny „Kościół katedralny w Krakowie“ p. Bryniarskiego, no... i trochę innych. A nie spotykamy tu nic wybitniejszego jeno garść rzeczy w założeniu skromniejszych, ale poprawnych.

Boznańskiej dwa portrety posiadają jej właściwą, stałą manierę, z której zdawało się, że się już zaczyna wyzwalać. Kilka drobniejszych, lecz dobrych prac krajobrazowych Edwarda Okunia, Popowskiego i Kędzierskiego nie może się jakoś pogodzić z Gwozdeckiego „Pociągiem,“ malowanym à la Ruszczyc. Proszę jednak nie sądzić, żeby to miało w czemkolwiek uchybiać talentowi Ruszczyca. Naśladowcy zwykle zdobywają się tylko na naśladowanie cech podrzędnych, niedecydujących o istotnej wartości pierwowzoru.

Popowskiego „Symfonia jesienna“ zbyt przypomina zwykłe tło zakładu fotograficznego. Wankego Władysława szereg scen z życia rybaczek posiada ogólne cechy poprawnych robót kunsthändlerskich, dociąganych „do tonu“ według pewnych, z góry przewidzianych recept. Według innej recepty konwencyonalnej malowany jest portret damski Henryka Rauchingera z Wiednia. To samo da się powiedzieć o Mastelskiego dziewczynie, odmawiającej „Anioł Pański“. Oświetlenie zachodzącego słońca nie jest oświetleniem plenerowem, dobrze zaobserwowanem z natury, ale przeróbką czysto pracownianą. Bagieńskiego Stanisława „Przed dworcem kolei Wiedeńskiej“ dobrze jest zaobserwowany w tonie ogólnym, ale w rysunku rwie się na dwie części: gmach dworca, stanowiący tło obrazu wydaje się być rysowanym z daleko niższego punktu, niż pierwszoplanowe dorożki i konie. Kozakiewicza Antoniego kilka scen wiejskich odznacza się prawdą i drobiazgowem wypieszczeniem szczegółów, jak to ogół lubi.

Jest to jedyna sala, gdzie znajdują się kartki z tytułami i nazwiskami artystów. Do obejrzenia każdej z innych potrzeba nabywać oddzielne katalogi. Nowość to bardzo niedogodna i kosztowna dla publiczności. Jeśli pobudką do niej była chwalebna chęć usunięcia brzydkich świstków papieru, zwieszających się przy ramach, to trudno doprawdy odgadnąć, dlaczego każdy obraz Siemiradzkiego oprócz przyzwoicie wydrukowanego numeru ma jeszcze powtórzony ten sam numer na białych kartkach w ząbki z obwódką niebieską, jakie naklejają po sklepach na skarpetkach, sztuczkach tasiemki i t. p.?

O ile katalogi byłyby ilustrowane i *bardzo tanie*, o tyle usunięcie napisów nie byłoby bezmyślnem naśladownictwem wystaw zagranicznych, gdzie za kilkanaście kopiejek otrzymuje się gruby tom i nierzadko z dobremi ilustracyami, mniejsze zaś katalogi na wystawach prywatnych są rozdawane *darmo*, mimo że wydane często bardzo ozdobnie. Na naszych wystawach za kilka kartek z kilkudziesięcioma wierszami trzeba płacić zwykle niemożliwie drogo. Czasem cena dochodzi do rubla!

W każdym jednak razie nie powinno być musu kupowania katalogu do sal ze zbiorami muzealnymi, bo tu nie trzeba naklejać brzydkiej, czasowej kartki papieru, ale powinna być stała tabliczka metalowa raz na zawsze. Jeśli mamy naśladować zagranicę, to dobrze byłoby i w tym szczególe wzorować się na jej muzeach publicznych.

W ten sposób uniknęłoby się może takich śmieszności, jakie od czasu do czasu odczytujemy z kartek, wiszących bez poprawki całymi miesiącami. Dziś np. pod obrazem Wankego, gdzie postać niewieścia stoi na pierwszym planie, czytamy tytuł: „Złote ciele“! Ma to być „Złoty cielec,“ którego posążek widnieje w oddali.

Odnajdujemy też w sali bibliotecznej kilkanaście akwafort znakomitego polskiego akwaforcisty Feliksa Jasińskiego, który stale mieszkał w Paryżu, więc mało jest znany naszej publiczności. Wybór bardzo nieszczególnie zrobiony. Rzeczy lepsze pomięszane ze słabszemi, egzemplarze pobrudzone i wystawione z dziwnem niedbalstwem. Jeśli w ten sposób będziemy starali się rozwijać zamiłowanie do sztuk graficznych w naszej, mało do tego przygotowanej publiczności, to na rezultaty długo poczekamy.

Z rzeźb, oprócz dawniejszych, spotykamy Gardeckiego bardzo dobrze skomponowaną „Ziemię“; Trentowskiego „Przepaść“ w płaskorzeźbie i mające dużo charakteru biusty wykonane przez Gerson-Dąbrowską, Bębnowskiego, Gardeckiego i Petrynę.

Szkoda, że w sali rzeźby znajduje się oddawna bardzo dobra w wyrazie figura starca, wpatrzonego w czaszkę, ale w żaden sposób nie można się dowiedzieć, ani tytułu, ani nazwiska jej autora. Jeśli miesiące czasu są zbyt krótkim terminem do wypisania kartki, to proponowalibyśmy wydanie *jeszcze jednego* katalogu specyalnie dla tej rzeźby, któryby można było wraz z półtuzinem innych nabywać w kasie za skromną dopłatą marnych kilkudziesięciu kopiejek.

Przecież Warszawa jest miastem takich bogaczów!

Sierp.

KSIĄŻKI DLA DZIECI.

— Teresa Jadwiga: **W słońcu** (str. 251, Gebethner i Wolff). Jest to opowiadanie historyczne z czasów wojen ze Szwedami Karola XII. Spotykamy się w niem ze wszystkiemi ważniejszemi postaciami historycznemi; w różnych epizodach mamy odnaleźć mniej więcej barwę epoki i ludzi owych czasów. W małym zakresie powiastki trudno tego dokonać— jest tu więc tylko tło zlekka podmalowane, na którem są już cienie, ale niema jeszcze ludzi i czynu.

— Walery Przyborowski: **Było to pod Jeną**, opowiadanie legionisty (Gebethner i Wolff). P. Przyborowski rok rocznie zasila stoły gwiazdkowe opowiadaniami o nadzwyczajnie walecznych, urodzonych wojownikach i bohaterach. Mają to być też zwierciadła, w których młodzież nasza winna zobaczyć obrazy przeszłości swego narodu i zaczerpnąć jakiej takiej nauki na przyszłość. Lecz zdaje się, że p. Przyborowski ani tej przeszłości należycie nie przedstawia, ani na przyszłość godnej nauki z niej wycisnąć nie daje.

— Jadwiga Chrząszczewska: **O tem, co się niegdyś działo** (str 146, Gebethner i Wolff). 22 króciutkich opowiadań z dziejów Polski dla najmłodszej dziatwy. Umiejętnie wybrane i zastosowane do wieku dziecięcego.

— Zofia Jotejko-Rudnicka: **Nauka o rzeczach** w 650 obrazkach, z franc. według Colomba. Tłomaczka jest przyrodniczką, umiała więc wybrać i zastosować odpowiednio materyał. Książka właściwie zawiera zamkniętą w obrazkach treść do rozmów z dziećmi, które się rozwijać zaczynają. (Gebethner i Wolff).

— Antonina Sadowska: **Obrazki** dla dzieci od lat 5 do 7 (str. 80, wyd. Gebethnera i Wolffa).

SPRAWY EKONOMICZNE

Stan obecny kwestyi rolnej.

(Ciąg dalszy).

Trzy zatem czynniki: kooperacya, podział pracy, maszynerya — stanowią o wyższości wytwórczej wielkiego przedsiebiorstwa nad drobnem. Otóż David bada objawianie się i działanie tych trzech czynników w rolnictwie i dochodzi do wniosku, że grają one tu albo o wiele mniejszą, albo czasami nawet wręcz odwrotną rolę. Odrazu rzuca się w oczy pierwsza różnica, którą tu podkreślamy silniej i nieco inaczej, niż to zrobił David. W przemyśle wielkość przedsiebiorstwa nie określa się zajmowaną przez nie przestrzenią, tylko ilością przelewanej w wytwór pracy (oczywiście tylko *społecznie-niezbędna* praca wchodzi w rachubę), pracy tak żywej, jak tkwiącej w maszynach i budowlach, czyli innemi słowy — ilością stwarzanej przez przedsiebiorstwo w danym czasie (nowej) wartości; ponieważ materyał surowy proporcyonalny jest do wytworu, więc wielkość przedsiebiorstwa przemysłowego mierzona być może również ilością przerabianego materyału— oczywiście, przy równym stopniu zużytkowania tego materyału, bo przedsiebiorstwo, rozporządzające sposobem wyciągnięcia z materyału większej ilości własności pożytecznych, *intensywniejszego* zużytkowania go, może zużywać *stosunkowo* mniej materyału, a być jednak większem. W społeczeństwie kapitalistycznem wszystko to wyrazi się w namacalnym sprawdzianie wielkości przedsiebiorstw: większych rozmiarach, jednakowo (albo lepiej) procentującego, kapitału. Otóż w rolnictwie materyałem surowym, a przynajmniej najważniejszą jego częścią (obok nasion i nawozów) jest — ziemia, *która jest zarazem polem, miejscem pracy*. Wskutek tego wielkość przedsiebiorstwa, mierzona wielkością wytwarzanej wartości, czyli zużytego materyału, musi, przy innych warunkach równych, czyli przy jednakowym stopniu wyzyskania własności gruntu (intensywności, oraz przy jednakowym rodzaju wytworu — zboże lub wino — lub komplecie wytworów — np. zwykły dobór różnych zbóż i produktów zwierzęcych w dwóch majątkach w jednej okolicy) — wyrażać się i w rozmiarach terytoryalnych, w wielkości powierzchni. — Stąd wynikają ważne następstwa, dotyczące właśnie znaczenia kooperacyi, podziału pracy i maszyneryi. Przedewszystkiem, gdy na jednej szali kładziemy korzyści koncentracyi, a mianowicie oszczędność na budynkach i przybytek gruntu, wynikający z braku miedz granicznych, to na drugiej szali musimy położyć zwiększanie się pracy nieprodukcyjnej—jazdy na miejsce pracy i z powrotem, dalekie objazdy w celu dozoru, rozwożenie nawozu — które to zwiększenie sprawia, że po za pewną granicą rozległości majątek staje się coraz mniej produkcyjnym. Dalej, wobec rozproszenia robotników po polach dobre strony kooperacyi często nie objawiają się wcale, natomiast złe strony kooperacyi — bo ma ona i złe strony, o których przy badaniu życia przemysłowego zapomina się, mianowicie zaraźliwość niedbałości, żartów, straty czasu — przy utrudnionym dozorze objawiają się w większym stopniu. Następnie — z t e

samej przyczyny wielkie przedsiebiorstwo rolne nie może posiadać motoru centralnego, gdyż przenoszenie siły od niego na miejsce pracy, odległe i zmienne, byłoby niezmiernie kosztowne; musi poprzestawać na maszynach samodzielnych, ruchomych i złożonych, przy których użyciu nierówności i miękości gruntu stawiają w dodatku znaczne, czasami nieprzezwyciężone trudności. Maszyny takie wymagają często do obchodzenia się z niemi robotnika nie prostszego, mniej kwalifikowanego, jak to bywa często w przemyśle, lecz przeciwnie bardziej wykwalifikowanego, kosztowniejszego, niż ten, co kieruje staremi narzędziami i żywymi motorami-zwierzętami. Te, ze względu na budowę swych kończyn, swą inteligencyę i wolę, stanowią najodpowiedniejsze motory ruchome na zmiennym terenie, a oprócz tego dostarczają jeszcze mierzwy i innych produktów. Zapowiadają, że elektryczność rozwiąże zadanie maszyneryi rolniczej, ponieważ jest niezmiernie uległa, zmienna i przenośna; być może — ale dotychczas zadanie to nie jest jeszcze wcale rozwiązane.

Oto pierwsza kategorya różnic techniczno-produkcyjnych między rolnictwem a przemysłem. W dalszym ciągu stawia natura produkcyi rolnej wielkie przeszkody rozwojowi podziału pracy. Możliwość, a zarazem doniosłość podziału pracy polega na tem, że zamiast kolejnego wykonywania całego szeregu różnych robót przez jednego robotnika — różne roboty są wykonywane jednocześnie przez cały szereg wyspecyalizowanych robotników. Ale jest to możliwe tylko wtedy, gdy się ma do czynienia z materyałem martwym, ulegającym zupełnie woli ludzkiej. Tymczasem gdy idzie o roślinę (lub zwierzę), to sama natura określa kolejność robót, które trzeba przy nich wykonać, i zamiana tych robót, często sezonowych, na jednoczesne, jest zupełnie niemożliwa. Jednoczesność różnych robót osiąga się poczęści w rolnictwie przez uprawę kilku lub kilkunastu różnych roślin, jarych i zimowych; ale to właśnie, wraz z agronomiczną koniecznością płodozmianu, uniemożliwia znowu specyalizacyę całego przedsiebiorstwa, która w przemyśle jest również często czynnikiem większej wytwórczości wielkich przedsiebiorstw. Podział pracy w powyższem znaczeniu, czyli zamiana kolejnych robót na jednoczesne, możliwy jest w rolnictwie tylko w dość ciasnych granicach pewnego określonego splotu robót sezonowych, jak np. żniwo, zwózka, młócka; ale ponieważ ogólna niemożliwość specyalizacyi zmusza wielkie przedsiebiorstwa rolne do utrzymywania pewnej stałej załogi robotników-niespecyalistów, robiących wszystko zależnie od pory roku, więc i w tych wypadkach nie posiada ono robotników-specyalistów— chyba że ich sprowadzi z zewnątrz na sezon, a i ci po za tym sezonem zajmują się jeszcze czemś innem. Zresztą, specyalizacya robotników i jednoczesność robót, o ile nawet ta ostatnia jest możliwa, nie byłyby nigdy w możności osiągnąć w rolnictwie tego, co stanowi głównie ich doniosłość w przemyśle: przyspieszenia całego procesu produkcyi, powtórzenia go wielokrotnie w tym samym czasie, dzięki czemu, pomijając już korzyści handlowe, możność wyzyskania konjunktury itp., i produkcyjność sama przez się wzrasta, bo chociaż materyału trzeba użyć więcej, jednak koszta ogólne dzielą się na większą ilość produktu i maszyny nie próżnują. W rolnictwie jest to niemożliwe. Maszyny wprawdzie w wielkiem gospodarstwie mogą być wyzyskane lepiej, niż w małem, ale nawet tam, ponieważ nie służą, a przynajmniej nie wszystkie służą do różnych robót, często stoją bez roboty — przyczem również niszczeją nieprodukcyjnie. Jeszcze jedna okoliczność odróżnia niekorzystnie wielkie gospodarstwo rolne od wielkiego przedsiebiorstwa przemysłowego: oto w przemyśle wraz z podziałem pracy istnieje wewnętrzna kontrola dobroci wytworów: wytwór częściowy przechodzi od swojej grupy robotników zaraz do następnej, gdzie jego wadliwość wywołałaby natychmiastowe zaburzenie. W rolnictwie inaczej: czynne wdania się człowieka w naturalny proces rozwoju rośliny — nawożenie, orka, siew, bronowanie, pielenie, aż do żniwa — oddzielone są od siebie nieraz znacznemi przerwami, dobroć ich wykonania nie jest odrazu widoczna, przynajmniej niezupełnie, więc kontrola mocno utrudniona. Wreszcie, jeżeli podział pracy nie objawia bardzo swych dobrych stron w rolnictwie, to w wielkiem przedsiebiorstwie rolnem występuje natomiast szkodliwy podział między pracą umysłową, kierowniczą, a fizyczną, czysto mechaniczną, podział, którego drobny rolnik, sam kierownik własnego gospodarstwa, nie zna, a który, pozbawiając najemnika folwarcznego samodzielności i bystrości, tem gorsze może mieć tu skutki wobec trudności wszelkiej kontroli na rozrzuconych, rozległych polach.

David wszystkie te różnice między wielkiem przedsiebiorstwem przemysłowem a rolnem usiłuje sprowadzić do jednej, najbardziej zasadniczej różnicy, a mianowicie: między produkcyą mechaniczną, przerabiającą *martwe* materyały, a produkcyą organiczną, hodującą *żywe organizmy*. U nas tę samą myśl wypowiada ze szczególnym naciskiem dr. Wł. Gumplowicz *). Uogólnienie to jest im potrzebne do osiągnięcia następującego wniosku. Żywe organizmy, mówią oni, nie znoszą obchodzenia się schematycznego, wymagają indywidualizacyi, troskliwej pieczy nad każdą rośliną lub zwierzęciem z osobna. Obieranie roślin z pasorzytów, dosypywanie pewnych nawozów sproszkowanych, karmienie i wogóle pielęgnowanie bydła — oto zadania, wymagające inteligencyi i pieczołowitości od człowieka. Ta potrzeba indywidualizacyi jest, zdaniem naszych autorów, zasadniczą przyczyną niepowodzenia maszyn w rolnictwie — bo maszyny, to schematyzacya. Z niej wynika w dalszym ciągu *wyższość* drobnego gospodarstwa nad wielkiem: ponieważ pierwsze może oczywiście lepiej znać mniej liczne indywidua swej hodowli i lepiej opiekować się niemi. Wyższość ta szczególniej się objawia przy gospodarce intensywnej w tem znaczeniu, że od gatunków roślin mniejszej wartości, zawierających w sobie mniej dawnej i żywej pracy ludzkiej, przechodzi się do cenniejszych — od zbóż do różnych jarzyn, delikatesów i kwiatów, a to dlatego, że najmniejsza krzywda, zrobiona takiej roślinie, a przy wielkiej, schematycznej gospodarce nieuniknioną, przynosi już duże szkody. — Tu musimy od czysto technicznych stosunków przejść już do społecznych, uwzględnić wraz z Davidem *teraźniejszą* własność wielką i małą: z powyższych bowiem przesłanek wyprowadza on wniosek, że własność wielka, obsługiwana przez najemników, obojętnych na interes pana, nietylko ponosi wielkie szkody wskutek ich niedbalstwa, lenistwa, niszczenia inwentarza i narzędzi, przeciwko czemu, jak widzieliśmy, niema takich środków, jak wielka fabryka, ale poprostu jest niezdolna do konkurencyi z małą własnością na polu uprawy, jeśli już niekoniecznie zbóż, to przynajmniej roślin cennych, a już hodowli bydła wogóle, ponieważ drobny właściciel jak najskrzętniej dba o wszystko i indywidualizuje swe zabiegi we własnym interesie, nie żałując pracy i zachodu.

Pomijamy już zamącenie rozważań techniczno-ekonomicznych czynnikiem czysto społeczno-ustrojowym: bo, oczywista rzecz, jeśli wyobrazimy sobie wielką uprawę, prowadzoną nie przez najemników, lecz przez interesowanych, oświeconych współwłaścicieli, to całe mnóstwo powyższych źródeł jej rzekomej niższości przestaje istnieć. Ale powiadamy, że i reszta tych źródeł niższości, które pozostają, jest bardzo przesadzona... Błąd Davida, który mu wykazujemy, przyjąwszy jego własny punkt widzenia — analizy specyalnych warunków techniczno-produkcyjnych rolnictwa, polega mianowicie na tem, że owo uogólnienie, jakoby przeszkodą do wyższości technicznej wielkiego gospodarstwa był organiczny charakter produkcyi, jest fałszywe — zbyt obszerne. Jak czytelnik sam już zauważył, czynniki, powodujące zmniejszenie się lub brak wyższości wielkiego przedsiebiorstwa rolnego w porównaniu z przemysłowem, podzieliliśmy na dwie, a właściwie trzy kategorye. Zrobiliśmy to umyślnie: z podziału tego bowiem widać, jak na dłoni, że pierwsza kategorya bynajmniej nie wynika stąd, że w ziemi odbywa się proces organiczny, tylko stąd, że ziemia ze swą rozległą powierzchnią jest jednocześnie materyałem surowym i — miejscem pracy dla rolnictwa. Że nie idzie tu bynajmniej o „organiczny charakter produkcyi,“ najlepszym dowodem — górnictwo, które znajduje się zupełnie w tem samem położeniu. I tam — brak, a przynajmniej ograniczony charakter motoru centralnego, używanie narzędzi ręcznych przez rozproszonych robotników, trudność kontroli, kosztowność komunikacyi przy wzrastających odległościach itp. Zapewne, trudności są mniejsze dzięki twardości gruntu, możności kręcenia wielu wejść itp.; ale nie znikają zupełnie, a jednak nikt nie zaprzeczy, że wielka kopalnia ma wyższość techniczno-produkcyjną nad małą. — Dopiero druga kategorya przeszkód w stosowaniu kooperacyi, podziału pracy i maszyneryi wynika istotnie z charakteru organicznego produkcyi, ale znowu nic a nic nie ma wspólnego z taką wydętą potrzebą indywidualizacyi; idzie tu bowiem tylko o naturalny kołobieg życia każdego *gatunku* roślin, który — z nic nieznaczącemi dla uprawy roślin odchyleniami — wspólny jest wszystkim jego indywiduom. Wielka uprawa może się do niego stosować równie dobrze, jak mała, jeśli nie lepiej. Absolutnie nie rozumiemy, dlaczegoby fakt, że orać, siać, żąć itd. można i trzeba tylko w pewnych porach roku, miał być źródłem jakiejkolwiekbądź wyższości dla drobnego gospodarza, i dlaczegoby te czysto mechaniczne czynności, niedotykające przecie wcale żywych organizmów, miały być przez niego lepiej wykonywane i musiały być wykonywane ręcznie; chyba, że zechcemy przypuścić u robotnika w wielkiem gospodarstwie szczególniejszą dozę głupoty, niedbałości, a nawet złośliwości. — O potrzebie indywidualizacyi, jako przeszkodzie dla rozwoju wielkiej gospodarki, może być mowa, z jednej strony, zapewne, przy hodowli zwierząt, co się zaś tyczy roślin, to jedynie w okresie ich życia od chwili, gdy wysuną się z ziemi, do chwili, gdy mają być ścięte lub zerwane; już przy tej ostatniej czynności bowiem indywidualizacya rzadko (jednak — wino itp.) gra większą rolę; okres ten musimy jednak, istotnie, przedłużyć, gdy się ma do czynienia z roślinami, które nie sieją się, nie kryją w ziemię, lecz przesadzają. Otóż odrazu zauważmy przedewszystkiem, że okres życia od ukazania się z pod ziemi do ścięcia wymaga nadzwyczaj mało pieczy ludzkiej właśnie u roślin dla rolnictwa najważniejszych, mianowicie zbóż, wogóle — ziarna; więcej, choć stosunkowo też niezbyt wiele — u tak ważnych roślin, jak kartofle, buraki itp.; tu już natura robi swoje podług uprawy gruntu i dobroci nasion; indywidualizująca więc troskliwość gospodarza drobnego niewiele mu pomoże, gdy

---

*) Czy Gumplowicz myśl tę przejął od Davida, nie wiem, bo wypowiadał on ją dawno przed wyjściem dzieła tegoż, ale D. rozpoczął rozwijać swe poglądy w *Neue Zeit* już w r. 1894—5.

tymczasem przy zupełnie dopuszczalnych tu „schematycznych" czynnościach uprawy i żniwa wielki ma wyższość maszyn, oszczędności skupienia itp. Pozostają zatem tylko: jarzyny, owoce, kwiaty — właściwie ogrodnictwo już nie rolnictwo — no, i hodowla bydła. Ale i w tej dziedzinie wielkie przedsiebiorstwo bynajmniej nie musi pozostawać i nie pozostaje faktycznie w tyle za małem, nawet gdy, jak dziś, używa najemników, a cóż dopiero w innych warunkach! Znane są ogrody kwiatowe na wielką skalę; i właśnie fakt odbywającej się w tej gałęzi koncentracyi przedsiebiorstw przeciwstawia Kautsky Davidowi w swej krytyce jego dzieła, jako najbardziej rażąco sprzeczny z jego teoryą! W książce p. Krzywickiego zaś znajdzie czytelnik cały szereg faktów, świadczących o wspaniałych zdobyczach wielkich przedsiebiorstw na polu hodowli bydła dojnego i tucznego *). Albowiem koncentracya, umożliwiająca oszczędność w budynkach i w pracy zapomocą maszyn oraz dozór i kierownictwo *naukowe*, ma i tu daleko większe znaczenie od indywidualizacyi — chociaż ta stanowi niezaprzeczenie dobrą stronę drobnego gospodarstwa.

Obawiamy się więc mocno, że wielkie odkrycie Davida co do „indywidualizacyi," właściwej gospodarstwu wiejskiemu i wywyższającej własność drobną, podobne jest do pęcherza, co pęka przy ukłóciu... Udało mu się istotnie dowieść — i to jest bezwątpienia duża zasługa naukowa — że prawo wyższości wielkiego przedsiebiorstwa nad małem działa w rolnictwie znacznie słabiej, niż w przemyśle, bo spotyka cały szereg przeszkód. Udało mu się dowieść — o czem nie mieliśmy sposobności wspomnieć dotąd — że drobna gospodarka może sobie przyswoić *niektóre* korzyści kooperacyi, podziału pracy i maszyneryi, ale to dopiero drogą zrzeszenia. Absolutnie, zdaniem mojem, nie udało mu się dowieść, żeby drobna gospodarka, jako taka, miała wyższość wytwórczą nad wielką, ani nawet, żeby druga nie miała wyższości nad pierwszą. Albowiem niewiadomo, dlaczego wielkie gospodarstwo miałoby dobrowolnie rozrastać się do takich rozmiarów, przy których odległości od centrum zmniejszają dochód: wtedy dzieli się ono na kilka lub kilkanaście folwarków, nie przestając korzystać z wielkich udogodnień jednolitego kierownictwa i jednolitej reprezentacyi na zewnątrz, *zarządu handlowego*. Na tem polu bije wielki małego niewątpliwie; David zrównanie się małego z wielkim widzi znów — dopiero w zrzeszeniu. Wreszcie pozostaje jeszcze kwestya intensywności uprawy, nad którą, niestety, nie możemy się już obszerniej rozwodzić. Dla Davida intensywność jest specyalnem polem wyższości bezwarunkowej drobnego gospogarstwa. Ale zdaje nam się, że miesza on przytem intensywność (ekonomiczną) w znaczeniu przejścia do uprawy *cenniejszych* roślin, oraz intensywność (techniczną) w znaczeniu doskonalszego wyzyskania, a zarazem zachowania, własności gruntu przy uprawie jednej i tej samej rośliny oraz udoskonalenia jej nasion. Otóż ta intensywność zależy zasadniczo od dwóch czynników: wiedzy i kapitału; że o obydwa łatwiej przy wielkiej uprawie, niż przy małej, nietylko w dzisiejszych warunkach, ale wogóle, dla tej prostej przyczyny, że większa produkcyjność pozwala na to poświęcać część dochodu, to chyba nie ulega kwestyi. Jedno i drugie ma drobnym rolnikom zapewnić — znowu zrzeszenie. Zgoda! Ale jeśli drobni rolnicy chcą osiągnąć *wszystkie* korzyści wielkiej gospodarki, to muszą zatem zrzeszenie doprowadzić do ostatniej konsekwencyi: do zrzeszenia samych gruntów. David cofa się przed tą konsekwencyą; ale wątpię, żeby cofać się przed nią mieli ci ludzie przyszłości, którzy będą w stanie świadomie i celowo organizować gospodarkę narodową z punktu widzenia największej wytwórczości przy najmniejszym wysiłku *).

(D. n.).

Dr. K. Krauz.

*) Str. 42, 44, 62, 67, 84 itd. W Missuri „przyrząd automatyczny strzyże stada, przy pomocy innego automatu myją je i kąpią." „Centralizacya umożliwiła stosowanie przeróżnych automatów i udogodnień: utrzymuje w oborze czyste powietrze za pomocą mechanizmu wentylacyjnego i jednostajną temperaturę zapomocą systemu rur ogrzewających. (Jednostajność temperatury umożliwia znaczne oszczędności co do paszy). Karmienie bydła uskuteczniają, posiłkując się maszynami. Miechy wpychają sieczkę do żłobów, pompa napełnia je wodą. Maszyna hydrauliczna zmywa gnój z podłogi dwa razy dziennie." — W fermie Mountain-Side — 124 krowy rasowe; „nie dostają innej wody, jak przegotowaną; doi się je zapomocą ssawek pneumatycznych, z których mleko przez rurę dostaje się po za oborę, aby nie nabrało nieprzyjemnej woni. Obory są oświetlone gazem, czystość wzorowa." Towarzystwo akcyjne pod Kopenhagą tak dba o krowy, że „wydaliło psy z sąsiedztwa, ich szczekanie bowiem przestraszało krowy i mleko od wzruszenia stawało się gorszem." „Stosowanie wszystkich przepisów zoohygienistów jest niemożliwe w małej oborze, *bo nie opłaci się tam urozmaicać pokarmu stosownie do natury każdej sztuki.*" — A więc, koniec końców, i indywidualizacyi sprzyja bardziej wielkie przedsiebiorstwo — pod pewnymi względami. — Co do owoców, ob. str. 66: lasy owocowe w Kalifornii: „Wzdłuż plantacyi pompy, oświeżające las sztucznym deszczem odpowiednio przygotowanej cieczy — celem zniszczenia szkodników; kaptury skórzane, którymi okrywają podejrzane drzewko, pogrążając je naczas jakiś w atmosferze zabójczego dla robaków gazu..." itd.

*) W następnym artykule rozpatrzymy kwestyę konkurencyi wielkiej i małej własności oraz żywotności i odporności każdej z nich w konkretnych warunkach teraźniejszości.

NA MARGINESIE.



Nagrody Nobla otrzymało tym razem sześć osób. Za prace w dziedzinie medycyny nagrodzony został prof. Finsen z Kopenhagi, który przeznaczył zaraz z tego 50,000 koron na założony przez siebie w Kopenhadze instytut światłoterapii. Prof. Finsen leży niebezpiecznie chory, nie mógł też odebrać przyznanej mu nagrody osobiście z rąk króla w Chrystyanii, dokąd w tym celu przybyli tylko prof. Arrhenius ze Sztokholmu, który otrzymał nagrodę w dziale fizyki, Björnstjorne-Björnson, trzeci Skandynawczyk, nagrodzony za prace literackie i Becquerel, prof. z Paryża, który w dziale chemii otrzymał nagrodę wespół z prof. Curie i jego żoną Maryą ze Skłodowskich. Wbrew oczekiwaniu nagroda pokoju dostała się nie Bercie Suttner, jak ogólnie się spodziewano, lecz Williamowi Randoll Cremerowi, Anglikowi, który całe życie walczył piórem i słowem o ideę powszechnego pokoju.

W liście obecnych, nagrodzonych uderza przewaga żywiołu skandynawskiego. Zastanawiającym jest nadewszystko wybór, uczyniony w dziale literackim. Czyż na tem polu niema już większych i zasłużeńszych ludzi, niż Björnstjorne-Björnson? A Tołstoj?

PRASA ROSYJSKA

—•—

— *Nowoje Wremia* donosi:

„Sąd wojenny kazański rozpatrywał w tych dniach sprawę o rozruchy, które wybuchły w Saratowie 8 (21) kwietnia podczas wielkanocnych zabaw ludowych. Osnowa aktu oskarżenia jest następująca: Dnia 8 kwietnia wieczorem, na placu zabaw ludowych, kiedy tłum począł się rozchodzić, gromada żołnierzy-artylerzystów zebrała się na placu koło namiotu służbowego i na żądanie policyi nietylko nie rozeszła się, ale nawet wymyślała i groziła. Rewirowy, ubrany po cywilnemu, zauważył, że jeden z artylerzystów namawiał innych, aby się nie rozchodzili i doniósł o tem komisarzowi, który kazał aresztować podżegacza. Kiedy komisarz zbliżył się do kolegów aresztowanego, którzy chcieli go odbić, otoczyło go sześciu ludzi z okrzykami: „po co aresztujesz?", a jeden artylerzysta, we własnym szynelu, jednostka inteligentna, pochwycił komisarza za klapę od paltota. Ale komisarz sam pochwycił za rękę aresztowanego Matwiejenkę; żołnierze rzucili się na niego i powalili na ziemię. Na odgłos gwizdka przybiegli kozacy i konni strażnicy i poczęli rozganiać żołnierzy. Jeden z nich krzyknął: „co się oglądacie, wyjmijcie szable!" Kilku żołnierzy wyjęło szable i machnęło niemi w tłumie. Pociągnięto do odpowiedzialności 12 żołnierzy. Sąd skazał Wasiljewa i Matwiejenkę na $2\frac{1}{2}$ roku rot aresztanckich, Karcha i Biełousowa na $2\frac{1}{2}$ miesiąca więzienia wojskowego i na oddanie pod nadzór władz wojskowych po odsiedzeniu kary. Pozostali podsądni zostali uniewinnieni."

Z sądu.

—•—

Dnia 12 b. m. II departament karny warsz. Izby sądowej rozpatrywał sprawę b. policmajstra m. Siedlec von Arnolda i b. strażników ziemskich: Pietruczaka, Piwienia i Nowickiego, oraz Kieliszka, strażnika siedleckiej straży ogniowej, oskarżonych o nadużycia podczas dochodzenia policyjnego w sprawie następującej:

Aptekarzowi, Stefanowi Skowrońskiemu, w Siedlcach, skradziono z kasy 72 rb. 26 kop. Podejrzenie padło na służącego, Leona Sadowskiego, który tej nocy spał w lokalu aptecznym. Zawiadomiony przez Skowrońskiego policmajster von Arnold kazał aresztować Sadowskiego. Piwień i Pietruczuk przyprowadzili oskarżonego do urzędu policyjnego i weszli z nim do pokoju dyżurnych. Po chwili, znajdujący się w sieni urzędu policyjnego ludzie, usłyszeli dolatujące z pokoju dyżurnych uderzenia czemś giętkiem w miękki przedmiot, którym towarzyszyły jęki i krzyki ludzkie. Trwało to około pięciu minut, poczem strażnik wyprowadził, jęczącego i płaczącego, Sadowskiego. Badany następnie w gabinecie policmajstra, Sadowski dawał różne wyjaśnienia. Zrazu utrzymywał, że nic nie wie, potem wskazywał stróża Jana, jako sprawcę kradzieży, wreszcie ucznia aptekarskiego Wyszomirskiego, a gdy strażnicy na rozkaz policmajstra kilkakrotnie wyprowadzali go z gabinetu i przyprowadzali, przyznał się nakoniec, że ukradł i obiecał pokazać miejsce w domu Skowrońskiego, gdzie schował pieniądze.

Strażnicy Pietruczuk, Piwień i Nowicki zaprowadzili go tam, lecz znalazłszy się na podwórzu, Sadowski wskoczył do miejsca ustępowego, chcąc się tam utopić. Z trudem wydobyto go, obmyto, przebrano, przyczem obecni zauważyli, że miał plecy i nogi pokryte siniakami, i odprowadzono na policyę. Wkrótce potem, znajdujący się w urzędzie policyjnym, usłyszeli odgłosy razów i krzyki ludzkie, które trwały około kwadransa.

Tegoż dnia wieczorem policmajster wezwał znów Sadowskiego. Przyprowadzony drżał, kurczył się i wogóle robił wrażenie chorego. Gdy wciąż oskarżał Wyszomirskiego, aptekarz Skowroński i prowizor Lisowski zaczęli go przekonywać, by odwołał. Sadowski wówczas przyznał się, że na Wyszomirskiego rzucił podejrzenie niesłusznie. Gdy policmajster zapytał Sadowskiego, dlaczego upierał się przy oskarżeniu, ten odpowiedział: „Na takie bicie trzeba było coś mówić." Ta odpowiedź wywołała uśmiech na ustach von Arnolda. Następnie Sadowski poprosił, żeby go puszczono do apteki, lecz nie ze strażnikiem, a tam odda pieniądze

Skowrońskiemu. Zaprowadził go stróż aresztu. Po drodze przyłączyli się do nich Piwień i Kieliszek. W aptece Sadowski wskoczył do piwnicy, a gdy wbiegli tam za nim, prowadzący go, znaleźli go leżącego na ziemi z popalonemi ustami obok balonu z kwasem siarczanym. Ratunek okazał się daremny. Przewieziony do szpitala, Sadowski w kilka godzin zmarł zupełnie przytomny, opowiedziawszy felczerowi, posługaczom i księdzu, przed którym się poprzednio wyspowiadał, że pieniędzy nie ukradł, a otruł się dlatego, by uniknąć bicia i męczarń, które zadawano mu w policyi, chcąc zmusić do przyznania się i zwrotu pieniędzy.

Świadkowie, zeznający w tej sprawie, stwierdzili, że przed tym wypadkiem w siedleckim urzędzie policyjnym praktykowano bicie ludzi, podejrzanych o przestępstwo, w celu zmuszenia do wyznania; używano do tego kijów, a przeważnie wysuszonych bizunów surowcowych.

Wszyscy oskarżeni do winy się nie przyznali. Sąd skazał von Arnolda, b. policmajstra siedleckiego, a obecnie naczelnika straży ziemskiej pow. Sokołowskiego, którego bronił adw. przys. Etinger, na 2 miesiące odwachu, a Pietruczuka, Piwnia, Nowickiego i Kieliszka na 4 miesiące więzienia; wszystkich na pokutę kościelną. (Według *Kur. Warsz.*).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Właściciele dorożek zamierzają połączyć się w stowarzyszenie, w celu uregulowania stosunku woźniców do przedsiebiorców. Ma być założona kasa zapomogi na wypadek choroby, oraz ustanowione wynagrodzenie za dłuższą służbę w jednem miejscu. Według projektowanej ustawy funduszu na te cele mają dostarczyć składki samych najmitów, strącane z pensyj po 10 kop. tygodniowo, niema natomiast wzmianki o jakimkolwiek zasiłku ze strony pracodawców.

— Po trzytygodniowem trwaniu, zakończył się proces w sprawie nadużyć, popełnionych w kasie pożyczkowo-oszczędnościowej św. Wacława w Pradze. Sędziowie przysięgli naradzali się 4 godziny. Skazano dyr. Wacława Kohouta na 7 lat ciężkiego więzienia, obostrzonego postem raz na kwartał. Również 7 lat więzienia obostrzonego otrzymał ks. kan. Jan Drozd. Na 3 lata skazany został Emanuel Herzig i na 13 miesięcy Fryd. Pekeländer.

— Pisma niemieckie donoszą, że z Ameryki nadeszło do Bremy na parowcu „Main" 22,929 beczek, i 1,540 skrzyń jabłek amerykańskich.

— Zwłoki Spencera zostały spalone; popioły, zebrane w urnę, będą umieszczone w opactwie Westminsterskiem.

— Gubernator lubelski polecił władzom powiatowym, aby od d. 1 grudnia st. st. ośmiodniowe kartki legitymacyjne na prawo przejścia granicy wydawane były nie w zarządach powiatowych, jak dotąd, lecz w kancelaryach gminnych i tylko tym, którzy udają się za granicę w celach handlowych lub dla odnalezienia zaginionych zwierząt domowych.

— Obliczono, że w roku bież. Sosnowiec posiada 56,000 mieszkańców.

— *Siew. Zap. Kraj* stwierdza niebywały oddawna w gub. Mińskiej ruch emigracyjny do Ameryki całych rodzin żydowskich wszelkich stanów i zajęć, przeważnie rzemieślniczych.

— W roku przyszłym z inicyatywy Ces. ros. Tow. techniczn. zwołany będzie w Petersburgu zjazd w sprawie polepszenia bytu robotników w zakładach przemysłowych.

— Gubernator saratowski ogłosił następujące rozporządzenie: „Na ulicach, placach i w miejscach publicznych zabrania się wszelkiego nieprzyzwoitego zachowania się, zakłócającego spokój i porządek publiczny, a wyrażającego się między innemi w zuchwałych wybrykach przeciwko poszczególnym osobom i ogółowi, oraz w nieprzyzwoitem zaczepianiu kobiet. Za wykroczenie przeciwko niniejszemu rozporządzeniu winni podlegną karze administracyjnej do wysokości 500 rb. lub trzech miesięcy więzienia."

— *Kawkaz* donosi, że w mieście Gori sąd okręgowy tyfliski, rozpatrzywszy sprawę robotników ze stacyi Michajłowo, kolei Zakaukazkiej, oskarżonych o zaburzenia i opór policyi, skazał czternastu na więzienie od $1^1/_2$ do $2^1/_2$ lat. — W innej sprawie 8 robotników, skazanych przez sąd okręgowy w Kutaisie na 2—6 miesięcy więzienia, wniesionej w drodze apelacyjnej do Izby sądowej w Tyflisie — wyrok pierwszej instancyi pozostawiono bez zmiany.

— *Tyg. Zakopiański* donosi, że dr. Janiszewski zażądał uwolnienia z urzędu lekarza klimatycznego.

— Storting norweski jednogłośnie odrzucił wniosek przyznania kobietom prawa wyborczego.

— Misyonarz angielski w Chinach, Norman Mackenzie, który przez trzy miesiące niósł pomoc nieszczęśliwym mieszkańcom prowincyi Kwang-Si, a następnie odbył podróż na znacznej przestrzeni Chin, podaje następujące szczegóły o panującej klęsce głodu w prowincyi Kwai-Pingu: „Nędzę zastałem tu większą, niż w jakiejkolwiek innej miejscowości, mięso ludzkie sprzedawano na rynku publicznym, zazwyczaj były to zwłoki straconych przestępców. Kobiety i dziewczęta sprzedawano setkami do Kantonu, oraz innych miast; według przybliżonego obliczenia sprzedano ich przeszło 10,000. Na ulicach, pod murem miejskim leżeli pokotem ludzie, którzy umarli z głodu, a obok nich inni, których wygląd wskazywał, że wszelka pomoc była już spóźniona. Dziesiątkami padali też trupem u wejścia do świątyni w chwili, gdy otwierano wrota, by im ryż rozdawać. Zaledwie wydali ostatnie tchnienie, przynoszono zbitą z czterech desek trumnę, wrzucano szybko zwłoki i wywożono za miasto, by je tam pochować."

Szkoły i wychowanie. Poddanym rosyjskim, kształcącym się w instytucie technicznym w Mittwejdzie, odroczono odbywanie powinności wojskowej do 22 roku życia.

Wiadomości naukowe. Komitet Kasy im. dr. Mianowskiego podaje do wiadomości, iż zmarły d. 9 listopada 1891 r. Władysław Pepłowski uczynił Kasę spadkobierczynią swojego majątku, od którego dochody przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, stosowane do potrzeb miejscowych na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tem polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa pomocy właściwe zezwolenie władzy rządowej uzyskała, komitet zarządzający Kasą oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżej wyłuszczonym określeniom i warunkom celem zapewnienia tym dziełom lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebnem i możliwem. Osoby, pragnące uzyskać dla swoich dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura komitetu, przy ul. Niecałej nr. 7, lub o nadsyłanie pod tymże adresem żądań wyłuszczonych na piśmie.

Zdrowie publiczne: Rada lekarska w Petersburgu postawiła wniosek — jak donosi *Warsz. Dn.*, ażeby wszystkie apteki w państwie były wykupione przez rząd, miasta i ziemstwa, lub aby w ostateczności wprowadzono wszelkie możliwe ułatwienia w nadawaniu praw osobom prywatnym na otwieranie aptek w każdej miejscowości.

— W Mińsku powstaje Towarzystwo w celu badania Białorusi pod względem etnograficznym i historycznym.

— D. 4 b. m. w Krakowie odbył się obchód jubileuszowy 40 letniej pracy romanisty i profesora prawa rzymskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim, dr. Fryderyka Zolla, wiceprezesa Akademii Umiejętności.

Sprawy etyczne. Kijowski korespondent *Pet. Wied.* pisze z przerażeniem o panującej w czasach ostatnich i coraz większe przybierającej rozmiary prostytucyi wśród nieletnich dziewcząt w południowych guberniach państwa. W Rostowie nad Donem aresztowano niedawno dwie notoryczne prostytutki, w wieku lat 10 i 11. Korespondent nie poprzestaje na doniesieniu ogólnem, lecz powołuje się na fakty, znane powszechnie w danej miejscowości. Donosi on, że całe południe objęte jest przez prostytucyę dziewcząt w wieku dziecięcym 6 i 7-mioletnim." (*Gaz. Pols.*).

— Moskiewska policya śledcza wytropiła bandę złodziejów i podpalaczów, którzy przyznali się do 60 podpaleń. Bandą dowodził 20-letni zbrodniarz; składała się ona z wyrostków, synów rodziców przeważnie zamożnych. Główny podpalacz liczy lat 17.

Literatura i prasa. Na konkursie „Miłośników sceny" nie przyznano nikomu pierwszej nagrody, drugą (200 rb.) otrzymał p. B. J. Hertz za sztukę 3-aktową p. t. „Doktór Zygmunt Łomski."

— Na Powązkach wzniesiono pomnik na grobie Antoniego Gustawa Bema.

Sprawy ekonomiczne. W roku przyszłym urządzona będzie w Omsku wystawa rolnicza.

— W Mińsku rozpoczął działalność pierwszy w kraju północno-zachodnim związek techników, inżynierów, geometrów, leśników, agronomów i innych specyalistów.

Według doniesienia *Gazety Losowań*, ministeryum skarbu zgodziło się na utworzenie przez właścicieli kopalń w okręgu dąbrowskim syndykatu z tym warunkiem, że węgle zagraniczne na potrzeby kolejowe będą dowożone bez cła.

— W Poznaniu otworzono wystawę pracy kobiet.

Koleje i Komunikacye. Komisya, złożona z przedstawicieli kolei rosyjskich i zagranicznych, opracowała taryfę na przewóz podróżnych z główniejszych miast Europy Zachodniej do Port-Arthura, Władywostoku oraz portów Chin i Japonii przez kolej Syberyjską i Wschodnio-Chińską. Taryfa zacznie obowiązywać od 1 maja 1904 r. Jednocześnie uchwalono wprowadzenie biletów okolnych w jedną stronę koleją, zaś z powrotem morzem przez Hongkong, Singapore, Kalkutę, Aden i kanał Sueski.

Katastrofy. Straszliwy huragan w ciągu kilku minut zniszczył zupełnie wieś Antoniówkę, w pow. Homelskim.

— W kopalni węgla w Montegnée, w Belgii, z wysokości 245 metrów spadł wskutek przerwania się liny kosz, w którym 12 górników spuszczało się w zagłębie — wszyscy zginęli.

Zmarli. Bronisław Cybichowski, nauczyciel gimnazyalny, w Jeżycach, pod Poznaniem.

— Sir Jan Robinson, redaktor naczelny dziennika *Daily News*, w Londynie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. Gl. Cała ta straszna sprzeczność wyjaśni się bardzo prosto, gdy Pan: 1) uważniej przeczyta artykuł, w którym niema żadnego „ośmieszania i obniżania," a natomiast jest wyraźne przeciwko takiej tendencyi zastrzeżenie i 2) gdy Pan nie będzie brał współpracowników jednego pisma za figury geometryczne, przystające do siebie we wszystkich punktach. Pomimo starań około utrzymania ich w ogólnej zgodzie i pomimo chęci wytknięcia stałego kierunku myślom czytelników, musi im redakcya pozostawiać pewną swobodę samodzielnego sądu i wyboru między poglądami różnymi w odcieniach. Przynajmniej *Prawda* nie pragnie swoich twierdzeń ewangelizować, a względem swych czytelników stać na stanowisku bakałarki. Bo my na pewnej drodze szukamy prawdy, a nie nakazujemy jej i nie sprzedajemy w łupinach dogmatycznych.

— Do numeru dzisiejszego dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 13—18 dzieła J. Simmel'a p. t. Filozofia pieniądza.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 4 Декабря 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.